

GEORGES SIMENON

**MAIGRET I GOŚCIE
Z EUROPY WSCHODNIEJ**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: PIETR LE LETTON
PRZEŁOŻYŁA ZOFIA BYSTRZYCKA**

ROZDZIAŁ 1

WIEK OK. 32 LAT, WZROST 169 CM

„M.K.P.K. do Policji, Paryż.

Xvzust Cracovie vimontra m ghks triv psot uw Piotr Łotysz Brema vs tyz btolem.”

Komisarz Maigret z Pierwszej Brygady Lotnej podniósł głowę, odnosząc wrażenie, że sapanie żeliwnego pieca na środku biura, z rurą aż do sufitu, jakby przycichło. Odsunął telegram, podniósł się ociężale, uniósł dźwignię i dorzucił trzy szufle węgla do paleniska.

Stojąc tyłem do pieca nabił fajkę i rozluźnił niski kołnierzyk, bo jednak uwierał.

Spojrzał na zegarek, była czwarta. Marynarka wisiała na haku przy drzwiach.

Wrócił niespiesznie do biurka, raz jeszcze odczytał telegram i przetłumaczył półgłosem:

„Międzynarodowa Komisja Policji Kryminalnej, do Centrali Policji w Paryżu:

Policja Kraków notuje pobyt i wyjazd Piotra Łotysza do Bremy.”

Międzynarodowa Komisja Policji Kryminalnej (M.K.P.K.) mieści się w Wiedniu i nadzoruje walkę z międzynarodową przestępczością zapewniając łączność między centralami policji w poszczególnych krajach.

Maigret przysunął drugi telegram, zredagowany również w „Polkodzie”, utajniającym języku międzynarodowym, stosowanym w kontaktach policji na całym świecie.

Rzucił okiem:

„Dyrekcja Policji w Bremie do policji w Paryżu: Piotr Łotysz widziany. Kierunek Amsterdam i Bruksela.”

Trzecia depesza od Nederlandsche Centrale w Zake Misdadigers GQG zawiadamiała:

„Piotr Łotysz przedział G 263, wagon 5 godzina 11 rano w „Gwieździe Północy” do Paryża”.

Ostatni telegram w Polkodzie nadszedł z Brukseli.

„Potwierdzamy obecność Piotra Łotysza godzina druga, „Gwiazda Północy” Bruksela, przedział wskazany przez Amsterdam”.

Na ścianie biura wisiała ogromna mapa. Maigret stanął przed nią, masywny, ciężki, z rękami w kieszeniach i fajką w zębach.

Przebiegł wzrokiem od punktu, gdzie znajdował się Kraków do portu w Bremie, a następnie odległość do Amsterdamu i Brukseli.

Raz jeszcze sprawdził godzinę. Dwadzieścia po piątej. „Gwiazda Północy” pędząca z szybkością 110 km na godzinę, powinna być teraz gdzieś między Saint Quentin a Compiègne.

Bez postoju na granicy. Nie zwalniając biegu. W piątym wagonie, w przedziale G 263 Piotr Łotysz zapewne czytał, lub obserwował mijane krajobrazy.

Maigret podszedł do wnęki, umył ręce w emaliowanej miednicy, przycesał gęste, ciemne włosy, w których srebrzyło się nieco pasemek nad skroniami. Poprawił krawat. Nigdy nie nauczył się wiązać go jak trzeba.

Otworzył szufladę, przebiegł wzrokiem depeszę z Międzynarodowego Biura Identyfikacji w Kopenhadze.

„Policja Paryż.

Piotr Łotysz 32, 169, 01512, 0224, 0255, 02732, 03116, 03233, 03243, 03415, 03522, 04115, 04144, 041147, 05221” itd.

Tym razem tekst przetłumaczył na głos, nawet kilka razy, jak uczeń, który stara się go zapamiętać.

„Rysopis Piotra Łotysza: wiek około 32 lat, wzrost 169 cm, linia pleców prosta, kształt ucha normalny, duży płatek rozcięty na obrzeżu, nos średni, garbaty, twarz pociągła, szczupła, brwi rzadkie, jasnoblond, wargę dolną pełną, tęczęwki szarozielone, rozstawienie oczu średnie, szyja długa, włosy jasnoblond, mała okrągła łysina na czubku głowy”.

Był to „portret opisowy” Piotra Łotysza, równie wyrazisty dla inspektorów, jak fotografia. Przede wszystkim cechy główne: mężczyzna niski, szczupły, młody, jasny blondyn, o rzadkich brwiach koloru włosów, oczach zielonkawych, z długą szyją.

Maigret poznał też dokładnie kształt ucha, co by pozwalało rozróżnić Piotra Łotysza w tłumie, nawet gdyby się ucharakteryzował.

Komisarz zdjął marynarkę z haka, włożył na nią grube czarne palto i na głowę melonik.

Ostatnie spojrzenie na piec, który buchał żarem. Przy końcu długiego korytarza na podeście, służącym za poczekalnię, nakazał Jeanowi:

— Nie zapomnij pilnować ognia!

Na klatce schodowej zaskoczył go wiatr, który wpadł aż tutaj. By zapalić fajkę Maigret musiał ukryć się we framudze drzwi.

*

Mimo wielkiej, oszklonej kopuły na peronach Dworca Północnego szalała wichura. Kawałki szkła zleciały z góry i roztrzaskały się na szynach. Elektryczność ledwie działała. Ludzie kulili się na zimnie. Przed kasą odczytywali mało optymistyczny komunikat:

„Burza nad Kanalem”

Kobieta, której syn wyjeżdżał, by wsiąść na okręt do Folkestone miała niespokojną twarz, czerwone oczy. Nieco speszony syn obiecywał jej solennie, że nie będzie wychodził na pokład.

Maigret stanął nieopodal drugiego peronu, gdzie tłum czekał na przyjazd „Gwiazdy Północy”. Wszystkie znane hotele, nie wyłączając agencji Cooka, przysłały swoich pracowników.

Czekał bez ruchu, gdy inni denerwowali się. Młoda elegantka, otulona w norki, ale z nogami w cienkich, jedwabnych pończochach chodziła tam i z powrotem, stukając obcasami o beton.

Maigret stał w miejscu, wysoki, barczysty, rzucając obszerny cień. Potrącano go ze wszystkich stron, lecz trwał nieporuszony, solidny jak mur.

W oddali ukazały się żółte światła pociągu. I natychmiast rosła zamieszanie, krzyki tragarzy, szybkie podążanie przyjezdnych ku wyjściu.

Minęło go chyba z dwustu, kiedy wyłowił wzrokiem niskiego mężczyznę w zielonej, podróżnej narzutce w kratkę, o fasonie spotykanym w Europie północnej.

Mężczyzna nie śpieszył się. Szło za nim trzech bagażowych. Przedstawiciel jednego z wielkich hoteli na Polach Elizejskich usłużnie torował mu drogę.

„Wiek około 32 lat, wzrost 169 cm, nos średni, garbaty”. Maigret się nie zbliżył. Sprawdził tylko kształt ucha. To mu wystarczyło.

Człowiek w kraciastym palcie przeszedł obok. Jeden z bagażowych trącił Maigreta walizką.

W tej chwili ktoś z obsługi pociągu zaczął biec, rzucał w pośpiechu jakieś słowa do kolegi, stojącego na skraju peronu, obok opuszczonego łańcucha przy wyjściu.

Łańcuch teraz podniesiono. Rozległy się protesty.

Mężczyzna w podróżnej narzutce był już za drzwiami.

Maigret pykał z fajki drobne, szybkie dymki. Zbliżył się do kolejarza, który zagroził wyjście.

— Policja! Co się stało?

— Morderstwo... Właśnie znaleziono...

— Wagon B?

— Chyba tak.

Na dworcu toczyło się zwykle życie, jedynie drugi peron wyglądał nienormalnie. Zostało na nim kilkudziesięciu pasażerów, którym odcięto drogę powrotną. Byli zniecierpliwieni.

— Można ich wypuścić — rzekł Maigret.

Patrzył, jak spływa ostatnia fala. Głośnik zawiadamiał o odjeździe kolejki podmiejskiej. Ktoś puścił się biegiem. Przed jednym z wagonów „Gwiazdy Północy” niewielka grupka trzech kolejarzy w mundurach na coś czekała.

*

Pierwszy zjawił się dostoyny, lecz zaniepokojony kierownik dworca. Potem w holu ukazali się ludzie z noszami, Przeszli przez tłum, poruszony tym widokiem. Mieli zaraz jechać dalej.

Maigret szedł ciężko wzdłuż pociągu, nie wyjmując fajki z ust. Nosze się zatrzymały. Kierownik dworca słuchał podwładnych, którzy mówili wszyscy naraz.

— Policja! Gdzie jest policja?

Spojrzano na Maigreta z widoczną ulgą. Rozepchnął swym potężnym ciałem zgromadzonych i oto wszyscy stali się jakby mało ważni.

— W toalecie!

Maigret wspiął się na palce, ujrzał z prawej otwarte drzwi toalety. Na podłodze leżało zgięte w pół, wykręcone i ciało.

Kierownik dworca dawał na peronie wskazówki.

— Wagon skierować na boczny tor... zaraz... Na sześćdziesiąty drugi... I trzeba uprzedzić naszego komisarza.

Maigret najpierw zobaczył tylko kark mężczyzny. Po zdjęciu kaszkietu spojrzał na jego lewe ucho.

„Duży płatek rozcięty na obrzeżu...” — mruknął.

Na linoleum widniało parę kropel krwi. Rozejrzał się. Na peronie i stopniach wagonu stało kilku pracowników kolei. Szef dworca mówił coś bez przerwy.

Maigret odchylił głowę leżącego. Mocniej zacisnął w zębach fajkę.

Gdyby nie widział pasażera w kraciastym płaszczu, idącego do samochodu z tłumaczem hotelu Majestik, nie uwierzyłby własnym oczom.

Ten sam znany mu rysopis. Niewielki wąsik jak szczoteczka do zębów pod garbatym nosem. Te same jasne, rzadkie brwi. I szarozielone oczy.

Więc to Piotr Łotysz!

Maigret nie mógł się poruszyć w ciasnej toalecie, gdzie z niedomkniętego kranu kapiała woda, a nad przerdzewiałą rurą kłębiła się para.

Jego stopy dotykały trupa. Wyprostował górę ciała, zobaczył na piersi, koszuli i marynarce ślady osmalenia wskutek strzału z bezpośredniej odległości.

Wszystko tworzyło jedną, ciemną plamę z purpurowo-fioletową strużką krwi.

*

Pewien szczegół zastanowił komisarza. Mimo woli spojrzał na jedną ze stóp nieżyjącego. Leżała ukośnie wygięta jak cała postać, którą usiłowano ułożyć tak, aby potem zamknąć drzwi. Otóż czarny bucik okazał się tani i zniszczony, kiedyś go już reperowano. Obcas był ścięty, na środku podeszwy wydeptano okrągłą dziurę.

Nadszedł tutejszy komisarz, odpowiednio wysokiej rangi i z pewnością siebie rozpytywał obecnych:

— Co się znowu stało?... Zbrodnia?... Samobójstwo? Nie dotykać niczego do przybycia prokuratury... Uwaga!... Ja jestem odpowiedzialny...

Maigret z ogromnym trudem wydostał się z toalety; przeszkadzały mu nogi zmarłego. Szybko i fachowo sprawdził mu kieszenie: okazały się puste.

Wyszedł z wagonu, fajka mu zgasła, miał przekrzywiony kapelusz i plamę krwi na mankiecie.

— Ach, Maigret!... Co pan o tym sądzi? Nic... Możecie już...

— To samobójstwo, prawda?

— Prawdopodobnie... Dzwonił pan do prokuratora?

— Natychmiast jak mnie zawiadomiono...

Głośnik skrzeczał natrętnie. Parę osób, czując, że stało się coś niezwykłego, oglądało z daleka pusty pociąg i grupę przy schodkach piątego wagonu.

Maigret zostawił ich tam, wyszedł przed dworzec i skinął na taksówkę.

— Do Majestiku!

Wiatr się nasilał. Tworzył wiry na ulicach, a przechodnie zataczali się jak pijani. Gdzieś spadła na chodnik dachówka. Autobusy posuwały się ostrożnie.

Pola Elizejskie stały się prawie bezludną arterią. Spadły pierwsze krople deszczu. Portier z Majestiku podbiegł do taksówki, niosąc wielki, czerwony parasol.

— Policja! Czy przyjechał ktoś „Gwiazdą Północy”?

Portier natychmiast zamknął parasol.

— Tak, jeden gość...

— W kraciatym płaszczu, jasne wąsy?

— Tak, proszę do biura...

Ludzie rzucili się pędem, by schronić się przed pierwszymi, lodowatymi kroplami deszczu, wielkimi jak orzechy.

Za mahoniowym kontuarem tkwili odpowiednio eleganccy i nienaganni urzędnicy i tłumacze.

— Policja!... Gość w kraciatym płaszczu... Małe wąsy blond.

— Numer siedemnasty... Wnoszą na górę jego bagaże...

ROZDZIAŁ 2

PRZYJACIEL MILIARDERÓW

Obecność Maigreta w Majestiku znaczyła naturalnie coś przykrego. Był kimś, kto nie pasował do panującej tu atmosfery.

Nie dlatego, że wyglądał jak policjant z obiegowej karykatury. Nie nosił wąsów, ani butów na grubej podeszwie. Jego ubranie było dobrze skrojone, z welny w przyzwoitym gatunku. No i golił się co rano, a ręce miał dobrze utrzymane.

Lecz jego budowa była plebejska, masywna i koścista. Pod marynarką rysowały się twarde mięśnie, które deformowały mu każde, nawet nowe ubranie.

Ale przede wszystkim miał osobliwy zwyczaj rozsiadania się gdzie popadło, co drażniło nawet jego kolegów.

Było w tym coś więcej niż świadomość swej przewagi, lecz bynajmniej nie zarozumiałstwo. Był niczym ogromny kłoc, o który jakby wszystko powinno się rozbić. Nieważne, czy parł naprzód, czy stał mocno na rozstawionych nogach.

Jego fajka sterczała między zębami. Nie miał zamiaru wyjmować jej tylko dlatego, że znalazł się w Majestiku.

Zresztą może chciał właśnie okazać się prostacki i zadufany?

W swym grubym palcie z aksamitnym kołnierzem wyróżniał się w rześścicie oświetlonym holu, gdzie spacerowały damy owiane zapachem perfum, strzelały race śmiechu, szemrały rozmowy, a personel, zapięty na ostatni guzik, stylowo witał przybyłych.

Nie zwracał na nich uwagi. Pełna ożywienia atmosfera nie udzielała mu się. Dźwięki jazzu, dobiegające z podziemia, odbijały się od niego jak od bariery nie do przebycia.

Kiedy wchodził na schody, podbiegł do niego windziarz i chciał go zawieźć na górę. Maigret nawet się nie obejrzał.

Na pierwszym piętrze usłyszał:

— Pan kogoś szuka?

Głos jakby do niego nie dotarł. Przyglądał się korytarzom, pokrytym jaskrawoczerwonym chodnikiem. Wspiął się dalej.

Na drugim piętrze, z rękami w kieszeniach, odczytywał numery na tabliczkach z brązu. Drzwi oznaczone siedemnastką były otwarte. Chłopak w pasiastej kamizelce wnosił bagaże.

Lokator, gdy już zdjął okrycie, w szarym ubraniu wydawał się bardziej delikatny i szczupły. Palił cygaretkę z ustnikiem; wydawał instrukcje.

Numer siedemnasty nie był pokojem, lecz apartamentem: salon, gabinet, sypialnia i łazienka. Drzwi umieszczone w ścianach stykających się pod kątem prostym wychodziły na dwa schodzące się korytarze, gdzie jak ława na skrzyżowaniu ulic stała wielka, okrągła kanapa.

Maigret usiadł na niej, dokładnie na wprost otwartych drzwi, wyciągnął nogi i rozpiął płaszcz.

Piotr Łotysz dojrzał go, lecz nadal rzucał polecenia. Nie okazał zdziwienia, czy niechęci. Gdy służba wstawiła bagaże, sam zamknął drzwi, przedtem chwilę obserwując komisarza.

Maigret miał czas, aby wypalić trzy fajki, odprawić dwóch gońców i jedną pokojówkę, którzy chcieli wiedzieć na kogo czeka.

Punktualnie o ósmej Piotr Łotysz wyszedł z pokoju, jeszcze szczuplejszy i bardziej elegancki niż poprzednio, w doskonale uszytym smokingu, na pewno od znakomitego krawca w Londynie. Był bez kapelusza. Jasne włosy miał obcięte krótko. Zaczynały się wysoko, nad lekko cofniętym czołem, nie kryły różowej łysinki na czubku głowy.

Dłonie miał smukłe i białe. Na serdecznym palcu lewej ręki błyszczał ciężki, platynowy sygnet z żółtym diamentem.

I teraz palił rosyjską cygaretkę z kartonowym ustnikiem. Przeszedł obok Maigreta, jakby chciał mu coś powiedzieć, lecz szybko oddalił się w kierunku windy.

*

Po dziesięciu minutach zajął miejsce w jadalni, przy stole państwa Mortimer–Levingstonów, którzy stanowili ośrodek powszechnego zainteresowania.

Pani Levingston dźwigała perły wartości miliona.

Jej mąż poprzedniego dnia zasilił finansowo jeden z największych francuskich zakładów samochodowych, rezerwując sobie oczywiście kontrolny pakiet akcji.

Cała trójka rozprawiała wesoło. Piotr Łotysz mówił dużo, lecz półgłosem, lekko pochylony ku państwu Mortimer–Levingston. Całkowicie swobodny, naturalny, bez cienia tremy, nie zwracał uwagi na sylwetkę Maigreta, którą mógł dojrzeć przez oszklone drzwi.

W biurze komisarz zażądał listy gości. Bez zaskoczenia przeczytał w rubryce z podpisem Łotysza: Oswald Oppenheim, armator, przybyły z Bremy.

Jego paszport na pewno był w porządku jak i komplet dokumentów na jego nazwisko oraz cała reszta.

Nie było żadnej wątpliwości, że spotkał Mortimer–Levingstonów już wcześniej. W Berlinie, Warszawie, Londynie, albo w Nowym Jorku.

Może zatrzymał się w Paryżu wyłącznie by ich spotkać i zmontować jedną z wielkich malwersacji, w jakich się specjalizował?

Na kartce, wyjętej z kieszeni, Maigret przeczytał:

„Osobnik bardzo sprytny i niebezpieczny, narodowości nieustalonej, lecz urodzony w północnej Europie. Prawdopodobnie Łotysz lub Estończyk. Włada biegle francuskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Starannie wykształcony, uważany za szefa gangu zuchwałych oszustów na skalę międzynarodową.

Wzmiankowaną bandę notowano kolejno w Paryżu, Amsterdamie (sprawa Van Heuvela) Bernie (sprawa Lipmanna) i w innych stolicach kontynentu, gdzie jednak ich działalność nie została dostatecznie rozpracowana.

Jak się zdaje, współnikami Piotra Łotysza są głównie Anglosasi. Mężczyznę, widywanego z nim najczęściej, rozpoznanego jako fałszerza czeku z Banku Federalnego w Berlinie, zabito w chwili aresztowania. Podawał się za niejakiego majora Howarda z Legionu Amerykańskiego, ale ustalono, że był poprzednio „bootleggerem” w Nowym Jorku, znanym w Stanach Zjednoczonych jako Gruby Fred.

Piotra Łotysza zatrzymano dwukrotnie. Pierwszy raz w Wiesbaden, za sfałszowanie czeku na pół miliona marek na szkodę pewnego handlowca z Monachium. Drugi raz w Madrycie, w podobnej sprawie. Tu ofiarą jego machinacji padł wysoki urzędnik Dworu Królewskiego.

W obu wypadkach zastosował identyczną metodę. Spotykał się z poszkodowanymi, którym oświadczał, że skradzione pieniądze są doskonale ukryte, natomiast jego aresztowanie uniemożliwi ich zwrot. W obu przypadkach skarga została wycofana, a okradzionym stratę jakoby powetowano.

Od tamtego czasu nie przyłapano go nigdy na gorącym uczynku.

Możliwość powiązań z gangiem Maronnetiego (fałszywe banknoty i papiery wartościowe) a także z bandą w Kolonii (zwaną Bohaterami Twierdz)”.

W europejskich policjach brano też pod uwagę wersję, że Piotr Łotysz, szef i „skarbnik” licznych nielegalnych grup, dysponował milionami na kontach bankowych pod różnymi nazwiskami lub inwestował je w przemyśle.

Teraz uśmiechał się wdzięcznie do pani Mortimer–Levingston, która coś mu opowiadała, a jego biała dłoń rwała owoce ze wspaniałej kiści winogron.

*

— Przepraszam, czy może mi pan poświęcić chwilę?

Tak Maigret zwrócił się do Mortimera–Levingstona w holu Majestiku. Piotr Łotysz i Amerykanka udali się już do siebie.

Mortimer nie wyglądał rzeško, jak zwykle Jankesi. Był wysoki i chudy, raczej w typie latynoskim, o małej głowie, ciemne włosy czesał z przedziałkiem.

Wyglądał na bezgranicznie znużonego. Powieki miał ciężkie, sinawe. Wiódł wyczerpujące życie: pokazywał się w Deamdlle i Miami, na Lido, w Paryżu, Cannes i w Berlinie, odnajdywał gdzieś swój jacht, prowadził interesy w różnych krajach Europy, uświetniał swą obecnością ważne mecze bokserskie w Nowym Jorku albo w Kalifornii.

Spojrzał na Maigreta z góry, usiadł i rzucił ledwie poruszając wargami:

— Kim pan jest?

— Komisarz Maigret z Pierwszej Brygady Lotnej...

Mortimer nieznacznie zmarszczył brwi, przez chwilę siedział nachylony, jakby zdecydował się poświęcić rozmówcy tylko sekundę.

— Czy wiadomo panu, że jadł pan kolację z Piotrem Łotyszem?

— To wszystko, co pan ma mi do powiedzenia?

Maigret nie drgnął. Tego właśnie oczekiwał. Ponownie włożył fajkę do ust, albowiem raczył ją wyjąć, zwracając się do miliardera — i burknął:

— To wszystko!

Czuł się zadowolony z pomysłu. Levingston minął go obojętnie i wszedł do windy.

Było nieco po dziesiątej trzydzięci. Orkiestra przygrywająca w czasie kolacji ustąpiła miejsca big bandowi jazzowemu. Nadchodzili ludzie z zewnątrz.

Maigret nie jadł kolacji. Stał cierpliwie pośrodku holu. Zarządca słał mu z daleka niespokojne i ponure spojrzenia. Także członkowie personelu mijając go wyglądali na obrażonych i sprawiali wrażenie jakby mieli ochotę trącić go po drodze.

Majestik go nie akceptował. Ale postanowił zostać, tworząc ciemne piętno na tle złocień, świateł, obok defilady strojów wieczorowych, futer, podnieconych i zajętych sobą ludzi.

Pierwsza wyszła z windy pani Mortimer. Już się przebrała. Z nagimi ramionami, owinięta w pelerynę z lamy, podbitej gronostajem.

Okazała zdziwienie, kogoś tu nie widząc. Zaczęła spacerować, stukając miarowo wysokimi, złotymi obcasami.

Nagle zatrzymała się przed mahoniowym biurkiem gdzie dyżurowali urzędnicy i tłumacze. Coś im powiedziała. Któryś nacisnął czerwony guzik, podniósł słuchawkę. Był jakby zaskoczony, wezwał gońca, który po chwili pobiegł do windy.

Pani Levingston była widocznie zdenerwowana. Przez oszklone wejście do hotelu można było dostrzec opływowe linie amerykańskiego samochodu, czekającego przy krawężniku.

Goniec wrócił, szepnął coś urzędnikowi, ten z kolei rozmawiał chwilę z panią Mortimer. Protestowała, jakby mówiła:

— To wykluczone!

Maigret wszedł na górę, stanął przed numerem siedemnastym, zapukał. Jak oczekiwał po scenie, której był właśnie świadkiem, nikt mu nie odpowiedział.

Otworzył drzwi, ujrzał pusty salon. W sypialni smoking Piotra Łotysza leżał niedbale rzucony na łóżko. Lakierki na podłodze stały daleko od siebie.

Zarządca warknął:

— Pan już tutaj?

— No i co?... Zniknął?... Levingston także?... Czy o to chodziło?

— Nie róbmy paniki. Nie ma ich u siebie, ale na pewno są gdzieś w hotelu.

— Ile ma wyjść?

— Trzy... Jedno na Pola Elizejskie... Drugie na Arkady i trzecie, służbowe, na ulicę Ponthieu...

— Czy jest tam dozorca?

Uruchomiono telefon. Zarządca był wściekły. Zbeształ kogoś w centrali, bo ten nic nie rozumiał. Cały czas patrzył na Maigreta z pretensją.

— Co to wszystko znaczy? — spytał, czekając na dozorcę, który pełnił służbę w małej, oszklonej budce.

— Nic, albo prawie nic, jak pan utrzymuje.

— Mam nadzieję, że to nie... nie...

Słowo „morderstwo”, ten koszmar wszystkich hotelarzy na świecie, od właścicieli skromnych pensjonatów do zarządców luksusowych budowli, nie mogło przejść przez gardło.

— Wkrótce się dowiemy.

Weszła pani Mortimer–Levingston i spytała:

— I co?

Zarządca skłonił się, mamrocząc jakieś wyjaśnienia. Z głębi korytarza podszedł drobny staruszek z niechlujnym zarostem, w za dużym ubraniu, którego wygląd zupełnie nie pasował do rangi hotelu.

Naturalnie jego rola ograniczała się do pracy na zapleczu bo w innym razie paradowałby w odpowiedniej liberii i golił się codziennie.

— Zauważył pan kogoś wychodzącego?

— Kiedy?

— Parę minut temu.

— Zdaje się, że był ktoś z kuchni... Nie zwróciłem uwagi... Mężczyzna w kaszkiecie.

— Niski, blondyn? — wtrącił się Maigret.

— Tak, chyba tak... Nie widziałem dokładnie... Śpieszył się...

— I nikt poza tym?

— Nie wiem... Wyskoczyłem na róg ulicy kupić papierosy...

Pani Mortimer–Levingston traciła cierpliwość.

— No więc co? Tak ich szukacie? — zwróciła się do Maigreta. — Słyszałam, że pan jest z policji... A jeżeli męża zabito?... Na co pan czeka?...

W spojrzeniu, którym ją przygwoździł, był cały Maigret. Spokój. Dystans. Jakby słyszał brzęczenie muchy. Jakby miał przed sobą coś banalnie zwykłego.

Nie przywykła do takich oględzin. Zagryzła usta. Zaczerwieniła się pod makijażem. Tupnęła niecierpliwie nogą.

Ciągle się jej przyglądał.

Wtedy, już nie panując nad sobą, albo nie bardzo wiedząc, co robić, dostała napadu hysterii.

ROZDZIAŁ 3

KOSMYK WŁOSÓW

Dochodziła północ, kiedy Maigret wrócił na Quai des Orfèvres. Wichura szalała. Rozkołysała pobliskie drzewa. W statek—myjnię na Sekwanie uderzały drobne fale.

Budynek Policji Kryminalnej był niemal wyludniony. Tylko Jean trwał na swoim miejscu, w poczekalni między korytarzami, jakie prowadziły do licznych, teraz pustych biur. Dochodziły tylko głosy strażników. Tu i ówdzie jaśniała szpara światła pod drzwiami. To jakiś komisarz, czy inspektor pracował nad swoim dochodzeniem. Na podwórzu jeden z samochodów prokuratury nie mógł uruchomić silnika.

— Torrence wrócił? — spytał Maigret.

— Przed chwilą.

— Co z piecem?

— Musiałem otworzyć okno, tak było gorąco. Już ze ścian kapą wilgoć!

— Proszę zamówić piwo i kanapki! Byle nie ze świeżego chleba!

Pchnął jakieś drzwi, zawołał:

— Torrence!

Brygadier Torrence wszedł za nim do biura. Przed opuszczeniem Dworca Północnego Maigret telefonicznie kazał mu prowadzić dalej śledztwo.

Komisarz miał czterdzieści pięć lat. Torrence ledwie trzydzieści. Ale już był masywny, przypominał Maigreta w pomniejszeniu. Łączyło ich niejedno dochodzenie, rozumieli się bez wielu słów.

Komisarz zdjął płaszcz i marynarkę, rozluźnił krawat. Stojąc tyłem do pieca, grzał się chwilę, nim zapytał:

— No i jak tam?

— Prokuratura zebrała się w trybie pilnym. Ekipa rozpoznawcza dokonała zdjęć, ale nie wykryła żadnych odcisków palców. Tylko naturalnie ofiary, ale te nie odpowiadają żadnej z posiadanych fiszek.

— O ile pamiętam, wydział nie ma karty Łotysza?

— Tylko „portret opisowy”. Ani odcisków, ani wymiarów.

— Nie ma więc dowodu, że to nie Piotr.

— Ale nie ma również dowodu, że to on.

Maigret wyjął fajkę i kapciuch, w którym zostało na dnie trochę brunatnego pyłu. Torrence od razu podał mu napoczętą paczkę mocnych.

Milczeli. Z papierosa osypywał się popiół. Wkrótce usłyszeli kroki, brzęk szkła i Torrence otworzył drzwi.

Kelner z piwiarni Dauphine postawił tacę, na niej sześć kufla piwa i cztery solidne kanapki.

— Wystarczy? — upewnił się, kiedy zobaczył, że Maigret nie jest sam.

— Niech będzie.

Komisarz pałac, równocześnie zabrał się do jedzenia i picia, jeden z kufla podsunął brygadierowi.

— Co dalej?

— Przepytałem wszystkich z obsługi pociągu. Ustalono, że jeden pasażer jechał bez biletu. Albo denat, albo morderca. Sądzą, że w Brukseli wsiadł do tylnej części wagonu. Łatwiej można się ukryć w pulmanie, bo jest tam duży schowek na bagaże. Łotysz pił herbatę między Brukselą a

granicą, przeglądając angielskie i francuskie dzienniki, szczególnie rubryki notowań giełdowych. Między Maubeuge a Saint Quentin udał się do toalety. Szef wagonu restauracyjnego to zapamiętał, bo gość przechodząc rzekł:

— Da mi pan jeszcze whisky.

— I wrócił?

— Po kwadransie był z powrotem. Ale kelner nie zauważył kiedy wszedł.

— Nikt inny nie próbował wejść do toalety?

— Przepraszam! Jakaś kobieta mocowała się z drzwiami, ale zamek był zablokowany. Dopiero niedaleko Paryża ktoś z personelu go wyważył i stwierdził, że zaciął się opiłkami.

— Nikt od tego czasu nie widział Piotra?

— Nikt. Zwróciłby na siebie uwagę, bo nosił łachy, czego nie spotyka się w luksusowych pociągach.

— Kula?

— Wystrzelona z bezpośredniej odległości. Automatyczny rewolwer, kaliber sześć milimetrów. Rana była taka, że wedle lekarza mogła spowodować zgon.

— Ślady walki?

— Żadnych. Kieszenie puste.

— Wiem...

— Przepraszam. Znalazłem jednak w małej, wewnętrznej kieszonce, zapiętej na guzik to...

Torrence wyjął z portfela bibułkową torebkę, w której prześwitywał kosmyk włosów.

— Daj...

Maigret nie przerywał jedzenia.

— Włosy kobiety, dziecka?

— Lekarz sądowy twierdzi, że kobiety. Zostawiłem mu parę, obiecał zbadać dokładniej.

— Sekcja?

— Zakończona o dziesiątej. Przypuszczalny wiek trzydzieści dwa lata. Wzrost 168 centymetrów. Żadnych defektów wrodzonych. Chociaż jedna z nerek w kiepskim stanie, co może znaczyć, że facet był alkoholikiem. W żołądku jeszcze herbata i pokarm niemal strawiony, który trudno na razie określić. Zajmą się tym jutro. Po sekcji ciało odeślą do kostnicy i będzie zamrożone.

Maigret wytarł usta i podszedł do ulubionego miejsca przy piecu, wyciągnął rękę i Torrence bez namysłu podał mu papierosy.

— Jeśli chodzi o mnie — powiedział komisarz — widziałem Piotra, albo kogoś, kto się za niego podaje w Majestiku, gdzie się zatrzymał i jadł kolację w towarzystwie Mortimer-Levingstonów z którymi, jak przypuszczam, był umówiony.

— To ci miliarderzy?

— Tak. Po kolacji Piotr wrócił do swego apartamentu... Uprzedziłem Mortimera. I on pojechał na górę. Niewątpliwie cała trójka zamierzała jeszcze wyjść, bo pani Mortimer zeszła po chwili ubrana wieczorowo. Dziesięć minut później stwierdzono, że obaj mężczyźni zniknęli. Łotysz zamienił smoking na garnitur, włożył kaszkiet i dozorca myślał, że to ktoś z kuchni. Levingston natomiast wyszedł jak był, ubrany na wieczór.

Torrence milczał. Długotrwałą ciszę wypełniały tylko uderzenia huraganu o szyby i trzaskanie pieca.

— Bagaże? — spytał w końcu Torrence.

— Załatwione. Nic. Odzież, bielizna. Luksusowe wyposażenie bogatego człowieka w podróży. Lecz ani świstka. Ta Mortimer przysięga, że jej męża zamordowano.

Gdzieś bił dzwon. Maigret otworzył szufladę, do której wepchnął po południu telegramy w sprawie Piotra Łotysza.

Zbliżył się do mapy. Palcem rysował linię łączącą Kraków, Bremę, Amsterdam, Brukselę, Paryż. Zatrzymał się chwilę w okolicy Saint Quentin: trup.

Tam gdzie był Paryż, jego wykres się kończył. W samym centrum Pól Elizejskich zniknęło dwóch mężczyzn.

Zostały tylko bagaże w którymś apartamencie i pani Mortimer–Levingston, zupełnie bezmyślna, tak jak ogromny kufer Łotysza na środku pokoju.

Fajka Maigreta syczała tak irytująco, że komisarz wyjął z szuflady miotłkę z kurzych piór, oczyścił cybuch, otworzył piec i wyrzucił brudne pierze.

Cztery kufle ze śladami gęstej piany stały już opróżnione. Ktoś wyszedł z sąsiedniego pokoju, zamknął drzwi na klucz i oddalił się w głąb korytarza.

— Ten na dzisiaj skończył — zauważył Torrence. — To Lucas. Złapał wieczorem dwóch handlarzy narkotyków, dzięki chłoptasiowi, który puścił farbę.

Maigret grzebał w ogniu, po czym wyprostował się zarumieniony. Machinalnie podniósł torebkę z bibułki, wyjął z niej kosmyk włosów i bawił się nim oglądając w pełnym świetle. Znów stanął przed mapą, na której niewidoczna trasa podróży Piotra Łotysza zakreślała łuk, niemal półkole.

Dlaczego z Krakowa jechał aż do Bremy, żeby potem wysiąść w Paryżu?

Nadal trzymał w ręku cienką kopertkę. Mruknął:

— Było w niej zdjęcie.

Rzeczywiście podobne służyły fotografom na odbitki dla klientów.

Ta miała jednak format stosowany obecnie już tylko na wsi, lub w miasteczkach prowincjonalnych. Nazywany był dawniej „formatem albumowym”.

Odbitka, którą w niej można zmieścić, była chyba rozmiarów połowy kartki pocztowej. Kopertę wykonano z żółtawego, błyszczącego papieru.

— Czy są tam jeszcze w laboratorium? — spytał nieoczekiwanie komisarz.

— Myślę, że tak. Zajmują się sprawą z pociągu, wywołują klisze...

Na stole został tylko jeden pełny kufel. Maigret wychylił go duszkiem i włożył marynarkę.

— Idziemy!... Te zdjęcia mają często wytłoczone adres i nazwisko fotografa.

Torrence zrozumiał. Znaleźli się w labiryncie korytarzy i schodów, wspięli się na szczyt Pałacu Sprawiedliwości i weszli do laboratorium Identyfikacji Sądowej.

Któryś z pracowników odebrał kopertę, pomacał ją, niemal obwąchał, a potem usiadł pod silnym reflektorem i przysunął dziwną aparaturę na wózku.

Metoda jest prosta: kawałek czystego papieru, jakiś czas w bezpośrednim kontakcie z kartką zapisaną atramentem, nasiąka w końcu tym, co znajduje się na tej drugiej.

Gołym okiem jest to niedostrzegalne. Ale powiększenie ujawnia ten proces.

Ponieważ w laboratorium był piec, więc Maigret oczywiście wylądował przy nim. Stał tak około godziny, paląc fajkę, gdy Torrence kręcił się przy techniku.

W końcu drzwi ciemni uchylły się i obwieszczono:

— Gotowe!

— No i co?

— Jest podpis: „Leon Moutet, artysta fotograf, Nabrzeże Belgów, Fécamp”.

Trzeba doświadczenia specjalisty, żeby to odczytać na gładkiej powierzchni, kiedy na przykład Torrence ledwie odróżniał na niej zatarte wgłębienia.

— Chce pan obejrzeć zdjęcia truposza? — zapytał z humorem fachman. — Naprawdę są udane. A w klozecie nie było dużo miejsca! Wie pan, zawiesiliśmy nawet aparat na suficie, żeby...

— Macie połączenie z miastem? — przerwał Maigret wskazując telefon.

— Tak... Po dziewiątej centrala jest nieczynna... Wtedy jesteśmy przełączeni na linię bezpośrednią.

Komisarz wykręcił numer Majestiku. Odezwał się jeden z tłumaczy.

— Pan Mortimer–Levingston wrócił?

— Już sprawdzam... A z kim mam przyjemność?

— Policja!

— Nie wrócił.

— A pan Oswald Oppenheim?

— Niestety, również nie.

— Co z panią Mortimer?

— Ona... Sądzę, że jest w barze...

— To znaczy, że jest pijana?

— No cóż, wypła parę koktajli. Oświadczyła, że nie wróci do siebie, póki jej mąż jest nieobecny... Czy mam...

— Co?

— Halo!... Tu zarządca. — Odezwał się inny głos. — Jest coś nowego? Sądzi pan, że historia ukaże się w prasie?

Maigret cynicznie odłożył słuchawkę. Aby zrobić przyjemność technikowi, rzucił okiem na klisze, leżące w suszarce, jeszcze wilgotne i błyszczące.

Równocześnie zwrócił się do Torrence'a:

— Stary, zainstalujesz się w Majestiku. I nie przejmuj się zarządcą.

— A pan, szefie?

— Idę do biura. O piątej trzydzieści jest pociąg do Fécamp. Nie ma sensu wracać do domu i budzić żony... Piwiarnia jest chyba jeszcze otwarta. Po drodze zamów mi piwo.

— Jedno? — upewnił się Torrence niewinnie.

— Jak uważasz, stary. Kelner jest na tyle domyślny, że będzie wiedział: trzy albo cztery. I niech dorzuci parę kanapek.

Zeszli gęsiego po niekończących się krętych schodach.

Fotograf w czarnym fartuchu, już sam, podziwiał pełen satysfakcji klisze i zaczął je numerować.

Na podwórzu się rozstali.

— Jeśli opuścisz z jakiegoś powodu Majestik, zostaw tam kogoś od nas. W razie czego będę dzwonił.

Wrócił do biura i zaczął tak energicznie grzebać w palenisku, że o mało nie uszkodził rusztu.

ROZDZIAŁ 4

DRUGI OFICER NA „SEETEUFEL”

Dworzec w La Breaute, gdzie o siódmej trzydzieści komisarz Maigret wysiadł z pociągu relacji Paryż–Le Havre, dał mu przedsmak Fécamp.

Ledwie oświetlony bufet, o brudnych ścianach, z kontuarem gdzie walało się parę herbatników, a trzy banany i pięć pomarańcz usiłowało tworzyć piramidę.

Mocniej czuło się tutaj uderzenia wiatru. Lało jak cebra.

Żeby przejść z toru na tor trzeba było brodzić po kolana w rozmytej ziemi.

Obskurny pociąg z wagonów, które nadawały się tylko na złom. Domy ledwie widoczne w bladym świetle, pociętym strugami deszczu.

Fécamp! Nieznośny odór sztokfiszki i śledzi. Stosy baryłek. Maszty sterczące za lokomotywami. Jęk syreny w oddali.

— Nabrzeże Belgów?

Prosto. Starczyło przebyć głębokie bajorka, pełne lśniących rybich łusek i gnijących odpadów.

Fotograf artystyczny był równocześnie właścicielem sklepu i trzymał prasę. Sprzedawał czerwone gumki, peleryny z żaglowego płótna, liny cumownicze i kartki świąteczne.

Chorowity, blade mężczyzna wezwał na ratunek żonę kiedy usłyszał słowo policja. Ona zaś, dorodna Normandka, niemal prowokująco spoglądała na Maigreta.

— Czy możecie mi państwo wyjaśnić, czyja fotografia znajdowała się w tej kopercie?

Trwało to długo. Należało wydierać fotografowi słowo po słowie, zrozumieć, co ma na myśli.

Przed wszystkim zdjęcie wykonano co najmniej osiem lat temu. Obecnie już takich nie robiono. Właściciel kupił nowy aparat, odpowiedni do rozmiaru pocztówkowego.

Kto się fotografował przed ośmiu laty? Dopiero po kwadransie pan Moutet sobie przypomniał, że ma album ze wszystkimi zdjęciami, które były jego dziełem.

Żona poszła, aby go odnaleźć. Marynarze wchodzili i wychodzili. Dzieciarnia kupowała cukierki za jednego sou. Na zewnątrz zgrzytały podnośniki statków. Morze toczyło kamienie wzdłuż falochronu.

Maigret przeglądając album, wyjaśnił dodatkowo:

— Młoda kobieta o gładkich, ciemnych włosach. To wystarczyło.

— Pani Swann! — krzyknął fotograf.

I znalazł natychmiast. Albowiem jedynie tamtym razem jego obiekt prezentował się odpowiednio.

Kobieta była ładna, około trzydziestki. Zdjęcie pasowało do koperty.

— Kto to?

— Do tej pory mieszka w Fécamp. Ale teraz ma willę na zboczu urwiska, pięć minut od kasyna.

— Mężatka?

— Na początku nie. Pracowała jako kasjerka w Hotelu Kolejowym.

— Naprzeciw dworca, oczywiście?

— Tak. Widział go pan, idąc tutaj. Jest sierotą, pochodzi z niewielkiej miejscowości w okolicy... Les Loges... Słyszał pan? Wtedy spotkała gościa, który zatrzymał się w hotelu, cudzoziemca... Pobrali się... Teraz mieszka w willi z dwojgiem dzieci i służącą.

— Pan Swann nie przebywa w Fécamp?

Zaległo milczenie. Fotograf i żona spojrzeli po sobie. Odezwała się kobieta.

— Jeśli pan z policji, to lepiej mówić prawdę. Zresztą i tak się pan dowie... Ludzie plotkują... Pan Swann rzadko bywa w Fécamp. A kiedy zostaje, to na krótko. Czasem tylko zagląda do domu... Przyjechał jakiś czas po wojnie... Organizowano rybołówstwo na Nowej Ziemi, bo przez pięć lat nikt się tym nie zajmował. Chciał podobno zbadać warunki i ulokować pieniądze w tutejszych robotach... Podawał się za Norwega... Na imię ma Olaf... Rybacy śledzia, którzy czasem zawijają aż do Norwegii mówią, że tam wielu tak się nazywa... Inni gadają, że jest Niemcem. I przyjechał tu szpiegować... Właśnie dlatego po ślubie trzymano się od jego żony z daleka. Potem ktoś usłyszał, że jest marynarzem, drugim oficerem na niemieckim statku handlowym, więc rzadko może odwiedzać rodzinę... W końcu przestano nim się interesować, ale tutaj ludzie są nieufni...

— Mają dzieci?

— Dwoje... Trzyletnią dziewczynkę i kilkumiesięczne niemowlę.

Maigret odkleił fotografię z albumu, kazał sobie wskazać położenie willi. Było trochę za wcześnie na wizytę.

Odsiedział dwie godziny w portowej kafejce, słuchając jak marynarze dyskutują o połowie śledzi, teraz w pełni sezonu. Pięć czarnych łodzi stało przy nabrzeżu. Rozładowywano całe beczki ryb i w powietrzu, mimo burzy, unosiła się nieprzyjemna woń.

Aby dotrzeć do willi, musiał minąć pusty falochron i okrążyć nieczynne kasyno, oklejone afiszami z ubiegłego lata.

Na koniec wdrapał się po stromej ścieżce, kończącej się przy urwisku. Tu i ówdzie stały ogrodzone wille.

Ta, której szukał, była z czerwonej cegły, niewielka, ale wygodna. Czulo się, że latem ogródek i jego zwirowane ścieżki są starannie pielęgnowane. Widok z okien rozciągał się zapewne daleko.

Nacisnął dzwonek. Ogromny dog, nie szczekając, ale tym groźniejszy, podbiegł i obwąchiwał go przez siatkę. Po drugim dzwonku wyszła służąca, zamknęła psa w budzie i spytała:

— O co chodzi? Miała tutejszy akcent.

— Przepraszam, chciałbym się widzieć z panem Swann...

Jakby się zawahała.

— Nie wiem, czy pan jest w domu. Zapytam...

Nie otworzyła furtki. Wciąż lało i Maigret był zupełnie przemoczony.

Służąca weszła na schodki i zniknęła w domu. Po chwili wróciła.

— Pana nie będzie kilka tygodni. Jest w Bremie.

— W takim razie czy mógłbym rozmawiać z panią Swann?

Znów się wahała, wreszcie otworzyła furtkę.

— Pani jest nieubrana... Proszę zaczekać.

Ociekającego wodą Maigreta zaprowadzono do czystutkiego salonu z białymi firankami i wypastowanym parkietem.

Meble były nowe, z tych, jakie spotyka się w drobnomieszczańskich mieszkaniach. W dobrym gatunku i w stylu jakie na przełomie wieku nazywano modernizmem. Kwiaty w „artystycznym” porcelanowym wazonie. Serwetki z haftem angielskim.

Lecz na okrągłym stoliku stał piękny, cyzelowany srebrny samowar, wart więcej niż cała reszta umeblowania.

Z pierwszego piętra dochodziły szmery. Bliżej, za ścianą kwiliło dziecko a czyjś głos śpiewnie i monotennie starał się je ukołysać.

W końcu lekkie stąpanie na korytarzu. Drzwi się otworzyły i przed komisarzem stanęła młoda kobieta ubrana na chybcika, aby go przyjąć.

Była średniego wzrostu, raczej pulchna niż smukła, o poważnej, ładnej twarzy, na której malowało się teraz lekkie zaniepokojenie.

Uśmiechnęła się jednak i spytała:

— Dlaczego pan nie siada?

Z płaszcza, spodni, butów Maigreta ciekły strużki wody na lśniąca posadzkę tworząc małe jeziora.

W takim stanie nie mógł usiąść na którymś z wyściełanych zielonym aksamitem foteli.

— Czy pani Swann?

— Owszem. Spojrzała nań pytająco.

— Wybacz pani, że tak nachodzę... Zwykła formalność. Jestem z policyjnej kontroli cudzoziemców... Robimy właśnie spis...

Nie odpowiedziała. Jego słowa jej nie zdziwiły, ani nie przekonały.

— Mam wrażenie, że pan Swann jest Szwedem, prawda?

— Przepraszam. Norwegiem. Ale dla Francuzów to wszystko jedno... Ja sama z początku...

— Jest oficerem marynarki?

— Pływa jako drugi oficer na statku „Seeteufel” z Bremy.

— Otóż to... Zatrudnia go więc przedsiębiorstwo niemieckie...

Na jej twarzy ukazał się rumieniec.

— Tak, armator jest Niemcem... Przynajmniej oficjalnie...

— To znaczy?

— Myślę, że nie ma czego przed panem ukrywać. Jak się pan może orientuje, od końca wojny w marynarce handlowej panuje kryzys... Choćby tutaj można spotkać kapitanów żeglugi wielkiej, którzy muszą, z braku pracy, zaciągać się w charakterze drugich albo trzecich oficerów... Inni łowią na Nowej Ziemi, albo na Morzu Północnym.

Mówiła dość szybko, ale głos miała równy, przyjemny.

— Mąż nie chciał podpisać kontraktu na Pacyfik, gdzie łatwiej o zajęcie, ale wracałby do Europy raz na dwa lata... Amerykanie wkrótce po naszym ślubie zarejestrowali „Seeteufel” na armatora niemieckiego... A Olaf przyjechał właśnie do Fécamp, żeby się przekonać, czy nie ma innych jednostek na sprzedaż. Teraz pan rozumie... Chodziło o przemyt alkoholu do Stanów Zjednoczonych. Utworzono wielkie spółki z kapitałem amerykańskim. Mają centrale we Francji, Holandii, Niemczech... Olaf w rzeczywistości Pracuje dla jednego z tych karteli. „Seetufel” pływa, jak to nazywają, „aleją rumu”. Nie ma więc nic wspólnego z Niemcami.

— Teraz jest na morzu? — spytał Maigret, nie spuszczać wzroku z jej ładnej twarzy, w której było coś szczerego, a nawet wzruszającego.

— Nie sądzę. Pan rozumie, że te rejsy nie są tak regularne, jak innych statków... Ale zawsze staram się określić położenie „Seeteufa”. Teraz chyba zawija do Bremy, albo jest gdzieś niedaleko.

— Była pani w Norwegii?

— Nigdy! Właściwie zawsze mieszkałam w Norman’ dii. Tylko dwa, trzy razy jeździłam na krótko do Paryża.

— Z mężem?

— Tak... Na przykład w podróż poślubną...

— Jest blondynem, prawda?

— Tak... dlaczego pan pyta?

— Z małym jasnym wąsikiem przystrzyżonym nad górną wargą?

— Tak... Mogę panu pokazać jego zdjęcie.

Wyszła. Maigret słyszał, jak chodziła po sąsiednim pokoju.

Logicznie biorąc trwało to za długo. Słyszał dochodzący z góry odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, niezrozumiałe kroki tam i z powrotem.

Nareszcie wróciła trochę zmieszana i niepewna.

— Przepraszam — rzekła. — Nie mogę znaleźć. Kiedy są dzieci, to zawsze w domu panuje bałagan.

— Jeszcze pytanie... Ilu osobom dała je pani? Pokazał odbitkę, którą zabrał od fotografa. Pani Swann zaczerwieniła się i wyjąkała:

— Nie rozumiem...

— Mąż zapewne ją posiada?

— Tak, byliśmy zaręczeni, kiedy...

— I żaden inny mężczyzna nie ma tej fotografii?

Omal się nie rozpląkała. Wargi jej drżały, zdradzając napięcie.

— Żaden...

— Dziękuję pani.

Gdy szedł ku wyjściu, do przedpokoju wbiegła mała dziewczynka. Maigret nie potrzebował się jej przyglądać. Był to żywy portret Piotra Łotysza!

— Olga! — skarciła ją matka, popychając dziecko ku uchylonym drzwiom.

Komisarz znów wyszedł na deszcz i potężny łomot wiatru.

— Do widzenia pani...

Jeszcze chwilę widział ją stojącą na progu i miał uczucie, że opuszcza kobietę załamana, którą dręczył w jej własnym, przytulnym domu. Gdy zamykała drzwi, spostrzegł w oczach młodej matki ślad czegoś bardziej subtelnego, nie do określenia.

ROZDZIAŁ 5

PIJANY ROSJANIN

Bywają rzeczy mało chwalebne, które przywołują uśmiech, kiedy się je wspomina. A jednak świadczą o niewątpliwej determinacji w działaniu.

Maigret nie spał w nocy. Od godziny piątej trzydzieści do ósmej rzucało nim w wagonach pełnych dojmującego przeciągu.

Od La Breaute zmókł na wylot. Jego buty za każdym krokiem wypluwały brudną wodę, melonik oklapł, a płaszcz i marynarka do reszty przesiąkły wodą.

Deszcz z wiatrem chłostał mu ciało, niczym uderzenia bicia.

Uliczka była pusta. Raczej strome przejście między ogrodzeniami, teraz zamienione w rwący potok.

Chwilę stał nie ruszając się z miejsca. Nawet jego fajka w kieszeni zamokła. I żadnej możliwości, aby się ukryć w pobliżu willi! Jedyne co mógł zrobić, to przyłgnąć do jakiegoś muru i czekać.

Gdyby ktoś przechodził, musiałby go dostrzec i obejrzeć ze zdumieniem. Może będzie tak stać wiele godzin. Nie było konkretnego dowodu, że w willi znajduje się mężczyzna. A jeśli nawet, to czy zechce z niej wyjść?

Ponury Maigret nabił tytoniem mokrą fajkę i wcisnął się, na ile to było możliwe, w niewielkie zagłębienie...

Nie była to robota dla oficera Policji Kryminalnej a zadanie dla debiutanta. Wykonywał je sto razy między dwudziestym drugim, a trzydziestym rokiem życia.

Z najwyższym trudem poradził sobie z zapalką. Draska na pudełku rwała się na strzępy. Lecz jeśliby któraś, zupełnym przypadkiem, w końcu rozbłysła, czy wtedy by odszedł?

Ze swego miejsca widział jedynie ogrodzenie i pomalowaną na zielono furtkę willi. Nogi raniły mu kolce jakiegoś krzewu. Porywy wiatru ziębiły kark.

Fécamp zostało w dole, ale miasta nie widział. Słyszał tylko huk morza, czasem nawoływanie syreny, albo przejeżdżające gdzieś niżej auto.

Stał tak pół godziny, gdy jakaś kobieta, może kucharka zaczęła się wspinać pod górę, niosąc torbę z zakupami. Ujrzała Maigreta w chwili, gdy go mijala. Ta ogromna sylwetka pod murem, na uliczce omiatanej wiatrem, tak ją przeraziła, że zaczęła uciekać biegiem.

Pracowała zapewne w którymś domostwie na szczycie stromizny. Po kilku minutach na rogu ukazał się mężczyzna: obejrzał go z daleka. Za nim podążała kobieta, i oboje weszli do domu.

Sytuacja była komiczna. Maigret wiedział, że istnieje dziesięć szans na sto, aby jego upór na coś się przydał.

Lecz nie rezygnował, wiedziony niejasną myślą, której nie nazywał nawet przecuciem.

Była to jego własna teoria, nigdy zresztą nie rozwinięta. Stanowiła tylko ogólne założenie, które nazywał „teorią Pęknięcia”.

W każdym przestępcy, w każdym bandycie, istnieje także zwykły człowiek. Choć nade wszystko jest to gracz, przeciwnik. I jego właśnie policja stara się obnażyć, atakując tę część osobowości.

Gdy dokonano zbrodni, czy innego przestępstwa, walka zaczyna się na podstawie danych mniej lub bardziej obiektywnych. To zadanie o jednej, czasem wielu niewiadomych, które należy rozwiązać sprawnością umysłu.

Maigret postępował jak inni. Jak inni używał sposobów niekonwencjonalnych, które Bertillon, Reiss, Locard oddali w ręce policji i które stanowiły całą naukę.

Lecz on szukał, czekał, śledził przede wszystkim owo „pęknięcie”. Czyli moment, kiedy z gracza wyłania się człowiek.

W Majestiku miał przed sobą gracza.

Tu natomiast przeczuwał coś odmiennego. Spokojna i zadbana willa nie była częścią chwytów, jakimi posługiwał się zwykle Piotr Łotysz. Owa kobietą i dzieci, które widział albo słyszał, należały do innej strefy materialnej i moralnej.

Dlatego tkwił tutaj w fatalnym nastroju. Zbyt sobie cenił wielki, żeliwny piec, biuro z pienistym kuflem na stole, żeby nie czuć się rozbity podczas tej okropnej zawieruchy.

Minęła dziesiąta kiedy rozpoczął obserwację. Była dwunasta trzydzieści, gdy rozległy się kroki na zwirowanej alejce, szybko i sprawnie otwarto furtkę i jakaś postać ukazała się dziesięć metrów od komisarza.

Nie miał dokąd się wycofać, więc został tam, gdzie stał, nieruchomy, raczej otępiały, w mokrych spodniach lepiących mu się do przemarzniętych nóg.

Mężczyzna, który wyszedł z willi ubrany był w zniszczony, przewiązany w pasie trencz z postawionym, wytartym kołnierzem. Na głowie miał szary kaszkiet.

W tym odzieniu wyglądał bardzo młodo. Z rękami w kieszeniach, skulony i drżący na skutek zmiany temperatury, schodził po krętej drodze.

Przeszedł obok komisarza o niecały metr. Wtedy zwolnił, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił.

Jakby naumyślnie ukazał się w pełnym świetle, żeby komisarz mógł go sobie dokładnie obejrzeć!

Maigret dał mu czas, by trochę odszedł i ruszył za nim. Fajka mu zgasła. Wszystko w nim się buntowało, lecz silniejsza była konieczność zrozumienia, albowiem człowiek w trenczu był zarazem podobny i niepodobny do Łotysza! Ten sam wzrost: mniej więcej metr siedemdziesiąt. Ogólnie biorąc w tym samym wieku, choć tak ubrany wyglądał raczej na dwadzieścia sześć, niż na trzydzieści dwa lata.

Z powodzeniem mógł być „portretem opisowym”, który komisarz znał na pamięć, a jego tekst nosił w kieszeni.

Równocześnie jednak był kimś innym! Na przykład jego oczy miały w sobie nostalgiczne zagubienie, ich szarość była jaśniejsza, jakby rozmyta deszczem.

Nie nosił małych jasnych wąsów na kształt szczoteczki do zębów. Ale nie tylko owe szczegóły go różniły. Maigreta zastanawiało co innego: jego postawa nie przypominała w niczym sylwetki oficera marynarki handlowej. Nie pasowała do mieszczańskiego życia, które toczyło się w willi.

Miał zniszczone buty, o ściętych obcasach. Kiedy idąc w błocie podciągnął nogawki, komisarz dostrzegł bawełniane, sprane, gęsto cerowane skarpetki.

Trencz był w wielu miejscach zabrudzony. Całość odpowiadała powierzchowności, którą Maigret znał doskonale: europejskiego włóczęgi, najczęściej ze Wschodu, który klepie biedę w najtańszych hotelach Paryża, czasem nocuje na dworcach, rzadko robi wypad na prowincję, jeździ trzecią klasą, albo na gapę, wieszając się stopni towarowych pociągów.

Po kilku minutach wszystko to się sprawdziło. W Fécamp nie ma tawerny w dosłownym znaczeniu, niemniej istnieją na tyłach portu dwa albo trzy obskurne bistra, dokąd zachodzą częściej różne obieżyświaty, niż tutejsi marynarze.

A dziesięć metrów od tamtych nor jest czysta, jasna kawiarnia.

„Człowiek w trenczu” minął ją zdecydowanie, wszedł do najbardziej odstręczającego z przybytków: oparł się o kontuar gestem, który nie mógł zmylić Maigreta.

Był to gest naturalny, prosty i jednoznaczny. Komisarz nawet chcąc, nie byłby w stanie go podrobić.

Wszedł za nim. Mężczyzna zamówił coś w rodzaju absyntu i stał milcząc, z pustym workiem, obojętny na bliskość Maigreta.

Pod rozchełstaną odzieżą policjant zobaczył przybrudzoną bieliznę. Nikt nie zmienia bielizny, zmieniając wygląd! Koszuli z kołnierzykiem jak wyleniały strzęp, nie zmieniał od wielu, wielu dni, może tygodni. Spał w niej Bóg wie gdzie, bo tak było mu ciepiej. A padał deszcz.

Ubranie, kiedyś może eleganckie, wyglądało podobnie, świadczyło o nędznym żywocie właściciela.

— Jeszcze!

Kieliszek stał pusty. Gospodarz go napełnił, podał Maigretowi trochę likieru.

— No i jak, znów się tu widzimy?

Mężczyzna nie odpowiedział. Wypił drugi aperitif, jak pierwszy jednym tchem i odsuwając kieliszek od siebie, dał znak, żeby mu nalać ponownie.

— Życzy pan coś na ząb?... Mamy śledzia w marynacie...

*

Maigret zerknął na piec, podszedł i stanął do niego tyłem, ociekając wodą jak parasol. Właściciel się nie zrażał. Robiąc oko do komisarza, powiadomił gościa w trenczu:

— Właśnie tydzień temu miałem u siebie pańskiego krajana. Rosjanin z Archangielska. Pracował na szwedzkim trójmasztowcu, który musiał zacumować u nas z powodu sztormu. Cholera, nie miał nawet czasu, żeby uderzyć w gaz. Robota im przypadła, jak wszyscy diabli. Rozwalone żagle, dwie złamane reje, a cały takielunek...

Tamten, już przy czwartym absyncie, pił do dna. Gospodarz napełniając kieliszki, rzucił Maigretowi porozumiewawcze spojrzenia.

— Jeśli chodzi o kapitana Swanna, to nie wrócił do siebie od kiedy pan był tutaj ostatni raz...

Komisarz drgnął. Człowiek w trenczu, który właśnie skończył piąty nierozcieńczony trunek, zbliżył się chwiejnie do pieca, otarł o Maigreta i wyciągnął ręce do ognia.

— Daj mi pan tego śledzia... — rzekł.

Na ile komisarz potrafił odróżnić, miał dość wyraźny, rosyjski akcent.

Stali razem, jeden obok drugiego. Kilkakrotnie mężczyzna przesunął ręką po twarzy, jego oczy zmętniały.

— A kieliszek? — zniecierpliwił się.

Trzeba było podać mu wprost do ręki. Pijąc wpatrywał się w Maigreta i krzywił z niesmakiem.

Ta mina nie budziła wątpliwości. Zresztą jakby podkreślając swoje uczucia rąbnął kieliszkiem o ziemię, chwycił się za poręcz krzesła, mamrocząc parę słów w obcym języku.

Gospodarz lekko zaniepokojony przeszedł blisko Maigreta i szepnął mu niby cicho, ale tak, żeby Rosjanin dokładnie usłyszał:

— Niech pan uważa. On jest zawsze taki...

Mężczyzna chwiał się, coś pijacko bełkocząc.

Opadł na krzesło, dłońmi chwycił się za głowę, siedział tak, do chwili kiedy między łokcie wepchnięto mu talerz ze śledziem.

Właściciel potrząsnął go za ramię:

— Trzeba jeść. To panu dobrze zrobi...

Tamten znów się roześmiał. A raczej zakaszłał gorzko. Odwrócił się, szukając wzrokiem Maigreta i bezczelnie na niego patrząc, zrzucił talerz na ziemię.

— Pić!

Gospodarz uniósł ramiona ku niebu, westchnął, jakby przepraszając:

— Ach, ci Rosjanie!

I zrobił palcem kółko na czole.

*

Maigret zsunął melonik na tył głowy, jego ubranie parowało w cieple. Był po dwóch likierach.

— Proszę o porcję śledzia — zamówił.

Jadł go właśnie z chlebem, gdy Rosjanin podniósł się na miękkich nogach, rozejrzał się, jakby nie wiedząc co robić, i znów uśmiechnął złośliwie, spoglądając na Maigreta.

Potem dowłókł się do kontuaru, wziął z półki kieliszek, znalazł w cynowym kubku butelkę, gdzie się chłodziła.

Nalał sobie, nie wiedząc co pije, głośno mlaskał językiem.

Wreszcie wyjął z kieszeni stufrankowy banknot i krzyknął:

— Czy dosyć, śmierdzie!

Rzucił banknot w powietrze. Gospodarz wyłowił go ze zlewu, Rosjanin mocował się z klamką u drzwi, nie ustępowała. Doszło prawie do bijatyki, bo gospodarz chciał mu pomóc, ale tamten odtrącał go łokciami.

„Trencz” rozplynął się z wolna w mgłę i deszczu, idąc po nabrzeżu, w kierunku dworca.

— Ale numer! — westchnął gospodarz do Maigreta, kiedy płacił.

— Często tu zachodzi?

— Od czasu do czasu. Kiedyś spędził całą noc na ławce, tam gdzie pan siedział... To Rosjanin... Powiedzieli mi rosyjscy marynarze, którzy zawinęli do Fécamp kiedy i on tu był... Podobno to człowiek wykształcony... Widział pan jego ręce?

— Nie sądzi pan, że jest podobny do kapitana Swanna?

— Więc pan go zna... Owszem... Ale nie tak, żeby się komuś mylili... Zresztą... Długo byłem przekonany, że to jego brat.

*

Szara sylwetka zniknęła na rogu ulicy. Maigret przyspieszył kroku.

Dopędził Rosjanina w momencie, kiedy na dworcu wchodził do poczekalni trzeciej klasy. Padł na ławkę, znów trzymając głowę w dłoniach.

Po godzinie siedzieli razem w przedziale, z handlarzem była z Yvetot, który opowiadał anegdoty w dialekcie normandzkim i czasem szturchał łokciem Maigreta, żeby zwrócić jego uwagę na współpasażera.

Rosjanin powoli się obsuwał, w końcu skulił się na ławce, z głową opuszczoną na piersi, rozdziawionymi ustami, ziejący alkoholem.

ROZDZIAŁ 6 W HOTELU „ROI DE SICILE”

Po wyjeździe z La Breaute, gdy Maigret się ocknął, Rosjanin już nie spał. Ekspres Le Havre–Paryż był przepelniony i inspektor ze swoim podopiecznym stali na korytarzu oglądając przez sąsiednie okna mijane widoki, stopniowo zacierane przez noc.

„Człowiek w trenczu” ani razu nie zdradził niepokoju z powodu obecności komisarza. Na dworcu Saint Lazare nie próbował uciekać, mieszając się z tłumem.

Na odwrót, zszedł wolno po schodach, zobaczył, że jego papierosy są mokre, kupił paczkę w dworcowym kiosku. Chciał wejść do bufetu ale zmienił zamiar i powłócząc nogami ruszył chodnikiem, żaloszny, całkowicie obojętny na wszystko, obojętnością której już nie starcza sił na jakąkolwiek reakcję.

*

Od Saint Lazare do Ratusza jest daleko. Trzeba przejść centrum Paryża, gdzie między szóstą a siódmą wieczorem Judzie rozlewają się falami po chodnikach, auta mkną z szybkością krwi w aortach.

Wąski w ramionach, w nieprzemakalnym, zabłoconym płaszczu, w butach na krzywych obcasach, szedł wśród świateł, mijał ruchliwe ulice, potrącany, spychany, nie zatrzymując się ani odwracając.

Wybrał drogę najkrótszą: ulicą 3 Sierpnia, przeciął Halle, co dowodziło, że chodził tędy często.

Dotarł do paryskiego getta z ośrodkiem na ulicy Rosiers, szedł obok sklepików z szyldami w jidysz, z koszerłą żywnością i stertami macy na wystawach.

Blisko ciemnego, głębokiego niczym tunel pasażu, jakaś kobieta chciała go wziąć pod rękę, ale się cofnęła, choć nic nie powiedział, zdumiona jego wyglądem.

„Wreszcie dotarł na ulicę Roi de Sicile, nieregularną, wciśniętą między koślawe domy i hałaśliwe podwórza. To była jeszcze dzielnica na pół żydowska, ale i polska. Dwieście metrów dalej zniknął w drzwiach hotelu.

Litery z białego fajansu głosiły: „Roi de Sicile”

Niżej widniały napisy żydowskie, polskie i w innych nieznanym językach. Prawdopodobnie także po rosyjsku.

Obok wznosiło się rusztowanie zbudowane naokoło walącej się kamienicy, którą podparto belkami.

Deszcz nie ustawał, ale wiatr nie docierał do tego zakątka.

Maigret usłyszał nagle trzaśnięcie okna na trzecim piętrze. Bez wahania, podobnie jak przedtem Rosjanin, wszedł do środka.

W głębi korytarza nie było drzwi, od razu schody. Na półpiętrze było coś na kształt oszklonego od przodu boksu, w którym siedziała przy stole żydowska rodzina.

Komisarz zapukał, nikt mu nie otworzył. Uniosła się tylko szyba w okienku. Buchnął cierpki odór. Żyd miał na głowie czarną jarmułkę. Jego otyła żona nie przestawała jeść.

— Co takiego?

— Policja! Nazwisko lokatora, który wszedł przed chwilą.

Tamten wymamrotał coś w swoim języku, wyjął z szuflady zatłuszczony rejestr i pchnął go za ramę okienka.

Wówczas Maigret poczuł, że jest obserwowany z ciemnej klatki schodowej. Odwrócił się gwałtownie i dojrzał, jakieś dziesięć stopni wyżej błysk oczu.

— Który pokój?

— Trzydzieści dwa. Przekartkował rejestr, znalazł:

„Fiodor Jurowicz, lat 28, urodzony w Wilnie, rzemieślnik. Anna Gorskina, lat 25, urodzona w Odessie, bez zawodu”.

Żyd wrócił na swoje miejsce i zabrał się do jedzenia, jak człowiek o czystym sumieniu. Maigret zabębnił w szybę. Hotelarz podniósł się niechętnie.

— Jak długo mieszka w tym hotelu?

— Trzy lata. Coś koło tego.

— Anna Gorskina?

— Była już wcześniej... Jakies trzy i pół roku.

— Z czego żyją?

— Widział pan. Jest robotnikiem.

— Słuchaj pan — zaczął Maigret takim tonem, że zachowanie rozmówcy natychmiast się zmieniło. — No, reszta mnie nie obchodzi — rzekł ugodowo.

— Płaci regularnie. Przychodzi, wychodzi i nie mój interes, żeby za nim latać.

— Odwiedza go ktoś?

— Co to znaczy? Mam więcej niż sześćdziesięciu lokatorów, żeby każdego pilnować... Jak nie robią nic złego... Zresztą pan jest z policji i musi znać ten dom... Meldunki były zawsze jak trzeba. Brygadier Vermouillet powie to samo. On kontroluje co tydzień...

Maigret odwrócił się nagle i zawołał:

— Proszę zejść, Anno Gorskina!

Lekki ruch na schodach, a potem kroki. W krąg światła weszła kobieta.

*

Na oko miała więcej niż dwadzieścia pięć lat, jak wynikało z rejestru, może ze względu na pochodzenie. Jak większość Żydówek w tym wieku, już przytyła, zachowując resztki urody. Bardzo ciemne oczy z rogówką niezwykle białą i lśniącą, były wspaniałe, lecz cała reszta wyglądała niechlujnie, co psuło tamto wrażenie. Czarne, rozczochrane włosy opadały jej w tłustych kosmykach na szyję. Nosila rozpięty, zniszczony szlafrok, który odsłaniał bieliznę. Zwinięte pończochy nie sięgały grubych kolan.

— Co pani robiła na schodach?

— Jestem u siebie.

Maigret natychmiast zrozumiał, z jakim typem kobiety ma do czynienia. Gwałtowna, napastliwa, szukała pretekstu, żeby urządzić awanturę, postawić na nogi cały dom, rzucając najbardziej nieprawdopodobne oskarżenia.

Może czuła się bezkarna? W każdym razie spoglądała na przeciwnika z wyzwaniem.

— Lepiej niech się pani zaopiekuje kochankiem.

— To moja sprawa.

Hotelarz za okienkiem kręcił głową na lewo i prawo ze smutną dezaprobatą, lecz w jego oczach kryło się rozbawienie.

— Kiedy wyszedł od pani?

— Wczoraj wieczorem o jedenastej.

Jasne, że kłamała. Ale nic by nie dało atakowanie jej wprost. Chyba żeby złapać na siłę za ramiona, a potem wsadzić do aresztu.

— Gdzie pracuje?

— Gdzie mu się podoba.

Biust jej falował pod obszernym szlafrokiem, usta wyrażały złość i pogardę.

— Czego gliny chcą od Fiodora?

Maigret wolał zaproponować spokojnie:

— Proszę iść na górę...

— Jak mi się zechce! Nie będzie mi pan rozkazywał!

Po co jej odpowiadać, stwarzając groteskową sytuację, która tylko zaszkodzi śledztwu? Maigret zamknął rejestr, oddał go hotelarzowi.

— No jak? Wszystko w porządku? — zapytał tamten, dając znak młodej kobiecie, by umilkła.

Ale została do końca, z pięściami na biodrach, na pół oświetlona jasnością boksu, na pół zanurzona w cieniu.

Maigret jeszcze raz na nią spojrzął. Wytrzymała jego wzrok, syknęła:

— Nie przestraszy mnie pan...

Wzruszył ramionami i zszedł po schodach, ocierając się o lepkie ściany.

*

W korytarzu trafił na dwóch Polaków w rozpiętych koszulach. Na jego widok szybko odwrócili głowy.

Mokre płyty chodnika rzucały refleksy światła.

W każdym załomie, w najmniejszej połaci mroku, w bramach, korytarzach czuło się przyczajone, ludzkie mrowie, życie ukryte i podstępne. Wzdłuż murów przemykały cienie. Sklepiarze handlowali towarami, których nazw Francuzi nie znali.

A sto metrów dalej były ulice Rivoli i Saint Antoine, szerokie, jasne, pełne sunących tramwajów, bogatych witryn i stróżów porządku...

Maigret zatrzymał się, chwytając za ramię biegnącego wyrostka o odstających uszach.

— Idź i zawołaj policjanta na placu Saint Paul...

Lecz chłopak spojrzął na niego zalękniony, odpowiedział coś niezrozumiale. Nie umiał ani jednego słowa po francusku!

Komisarz zwrócił się do kloszarda:

— Masz sto centymów... Zanieś tę kartkę do gliniarza na placu Saint Paul.

Ten zrozumiał. Po dziesięciu minutach zjawiał się policjant z patrolu.

— Zadzwońcie do Policji Kryminalnej, niech tu przyślą natychmiast jakiegoś inspektora... Dufoura, jeśli wolny...

Spacerował może z pół godziny. Ludzie wchodzili i wychodzili. Ciągle paliło się światło w drugim oknie z lewa na trzecim piętrze.

W drzwiach ukazała się Anna Gorskina. Na szlafrok włożyła zielonkawą płaszcz. Była bez kapelusza i mimo deszczu miała na nogach satynowe, czerwone klapki.

Szła ulicą rozchlapując kałuże. Maigret skrył się w cieniu.

Weszła do sklepu, po kilku minutach ukazała się, niosąc w ramionach masę paczuszek i dwie butelki i zniknęła w hotelu.

Wreszcie nadszedł inspektor Dufour. Miał trzydzieści pięć lat i mówił dość biegle trzema językami. Dlatego był użyteczny, mimo skłonności do komplikowania najprostszyc

Z banalnego włamania, lub kradzieży ulicznej robił tajemniczy dramat i w końcu często tracił głowę.

Ale dzięki swej rzadkiej wytrwałości nadawał się doskonale żeby wykonać ściśle określone zadanie, jak obserwacja lub śledzenie.

Maigret przekazał mu opis Fiodora Jurowicza i jego kochanki.

— Przyślę ci kolegę. Jeśli jedno z nich wyjdzie, pójdziesz za nim, ale ktoś musi tu zostać.

— Chodzi o sprawę „Gwiazdy północy”? To działalność mafii, prawda?

Komisarz wołał odejść. Po kwadransie znalazł się na Quai des Orfevres, wysłał kolegę do Dufoura i schylił się nad piecem, złorzecząc na Jeana, który nie potrafił rozgrzać go do czerwoności.

Jego zmoknięty płaszcz wisiał ciężko, szeroki w ramionach, jak on sam.

— Czy dzwoniła moja żona?

— Tak, z rana... Powiedzieli, że pan jest na mieście. Była do tego przyzwyczajona. Wiedział, że kiedy wróci, to go pocałuje, odgrzewając co stało na kuchni i napełni talerz smakowitą potrawą.

Ośmieli się najwyżej zapytać, podpierając dłońmi brodę, kiedy już będzie siedział przy stole:

— Wszystko w porządku?

Czy w południe, czy późnym wieczorem, jedzenie zawsze na niego czekało.

— Co z Torrencem?

— Dzwonił o siódmej rano.

— Z Majestiku?

— Nie wiem. Pytał czy pan wyszedł.

— Potem?

— Telefonował znowu o piątej dziesięć. Kazał mi powtórzyć, że czeka na pana.

Od rana Maigret zjadł tylko kawałek śledzia. Postął; chwilę przed ogniem, który już trząsał na dobre, umiał bowiem jak nikt inny skutecznie rozniecać polana.

Wszedł do niszy, gdzie znajdowała się umywalka, ręcznik, lustro i stała walizka. Wywłókł ją na środek pokoju, rozebrał się, włożył świeżą bieliznę i suche ubranie, przesunął niepewnie dłonią po kłującej brodzie. Trudno.

Spojrzał z zazdrością na gorejący piec, ustawił przy nim dwa krzesła, i starannie rozwiesił mokre rzeczy. Na biurku i leżała kanapka z poprzedniej nocy. Zjadł ją na stojąco, gotów do wyjścia. Niestety, piwa nie było. Czuł suchość w i gardle.

— Jak będzie coś dla mnie, jestem w Majestiku — zawiadomił Jeana. — Niech się tam ze mną skomunikują.

I wreszcie mógł paść na siedzenie taksówki.

ROZDZIAŁ 7

TRZECI ANTRAKT

Maigret nie znalazł Torrence'a w holu, lecz w pokoju na pierwszym piętrze, gdzie na stole rozłożono obfitą kolację. Brygadier zrobił do niego oko.

— To zarządca. Woli, żebym siedział tutaj, niż na dole. Błagał mnie prawie na kolanach, żebym zajął ten pokój. I nawet obiecał dobrą wyzerkę.

Mówił półgłosem. Wskazał na drzwi:

— Obok są Mortimerowie.

— Czyli już wrócił?

— Około szóstej rano, mokry, zabłocony, wściekły, poplamiony gipsem, czy wapnem...

— Mówił coś?

— Nic... Starał się niepostrzeżenie wrócić do siebie, ale mu powiedziano, że żona czeka w barze... I rzeczywiście... Z nudów zaprosiła jakieś brazylijskie małżeństwo i tylko dla nich trzymano bar otwarty... Była w sztok ululana.

— A on co?

— Zbladł. Miał zacięte usta... Sucho pozdrowił Brazylijczyków, chwycił żonę pod ramię i wyciągnął z baru... Na pewno spała do czwartej po południu... Do tego czasu było tam cicho... Potem usłyszałem szepty... Mortimer zadzwonił, żeby mu dostarczono gazety.

— Chyba o tym nie piszą?

— Nie. Wedle instrukcji. Jest tylko wzmianka, że znaleziono zwłoki w „Gwieździe Północy” i policja uznaje to za samobójstwo.

— Potem?

— Kelner zaniósł im sok cytrynowy. O szóstej Mortimer kręcił się trochę po holu, niedaleko ode mnie. Był zdenerwowany. Wysłał dwa szyfrowane telegramy do swego banku w Nowym Jorku i do sekretarza, który jest od paru dni w Londynie.

— To wszystko?

— W tej chwili jedzą kolację. Ostrygi, pieczony kurczak, sałata. Meldują mi o wszystkim. Administrator jest tak szczęśliwy, że mnie tutaj zamknął, iż dwoi się i troi w uprzejmościach. Niedawno dał mi znać, że Mortimerowie mają bilety do Gymnase. „Epopeja” w czterech aktach, nawet nie wiem czyje to...

— A co w apartamencie Piotra?

— Spokój. Nikt nie wchodził. Zamknąłem drzwi na klucz, wsadziłem do zamka kulkę z wosku, tak że nie można otworzyć, abym nie wiedział.

Maigret chwycił udko kury i jadł bez żenady, mimo woli szukając pieca. W końcu usiadł na kaloryferze i zapytał:

— Nie ma czegoś do picia?

Wychylił duszkiem kieliszek znakomitego białego wina, który podał mu Torrence. Równocześnie zapukano do drzwi. Wszedł posługacz z miną konspiratora.

— Zarządca polecił mi przekazać, że państwo Mortimer kazali sobie podstawić auto.

Maigret obejrzał się na bogato zastawiony stół, zupełnie jak u siebie w biurze patrzył na gorący piec.

— Idę — rzekł niechętnie. — Zostań tutaj. Przejrzał się w lustrze, wytarł usta i brodę. Po chwili siedział w taksówce, czekając aż Mortimer–Levingstonowie zajmą miejsca w limuzynie.

*

Wyszli po chwili. On w czarnej narzutce i fraku, ona cała w futrach, jak wczoraj.

Zapewne kiepsko się czuła, bo mąż dyskretnie podtrzymał ją ramieniem. Samochód ruszył bezszelestnie.

Maigret, który nie wiedział, że w Gymnase odbywa się premiera, miał trudności z wejściem. Straż Miejska otoczyła portal. Gapie, mimo deszczu, przyglądali się zaproszonym, wysiadającym z aut.

Maigret kazał wezwać dyrektora. Czekać zaczął po korytarzach inny niż wszyscy obecni, bo w zwykłym garniturze.

Dyrektor rozgorączkowany wymachiwał rękami:

— Chciałbym dogodzić wszystkim ale pan jest dwudziestą osobą, która się naprasza o „miejsce byle gdzie”. A poza tym jest pan nieprawidłowo ubrany!

Zewsząd go wzywano.

— Sam pan widzi! Proszę mnie zrozumieć!

Maigret stanął w końcu przy jakichś drzwiach, między Pięterkami, a sprzedającymi programy.

Mortimerowie mieli łożę. Było w niej sześć osób, w tym Jedna księżna i jeden minister. Publiczność wchodziła i wychodziła. Całowano dłonie. Krzyżowały się uśmiechy.

Kurtyna poszła w górę, ukazując pejzaż skąpany w słońcu. Jakieś „psst”. Szepty. Bieganie. W końcu głos aktora, jeszcze niepewny, lecz coraz donioślejszy, stwarzający atmosferę.

Wciąż nadciągali spóźnialscy. I znowu niecierpliwi „psst”. Krótki damski śmiech uleciał z głębi sali.

Mortimer był teraz światowcem jak nigdy. Doskonale nosił frak. Białe gors podkreślał jego smagłą karnację.

Czy dostrzegł Maigreta? Może nie? Bileterka przyniosła komisarzowi taboret, który musiał dzielić z grubą damą czarnym jedwabiu, matką jednej z aktorek.

Pierwszy, drugi anakt. Ruch w łożach. Sztuczne zachwyty. Ukłony wymieniane od foteli do balkonów.

W korytarzach, foyer, na antresoli szum jak w rojnym ulu. Nazwiska rzucane półgłosem, nazwiska maharadzów, bankierów, członków rządu, artystów.

Mortimer trzykrotnie opuścił łożę, ukazał się w przejściu, gawędził na parterze z byłym przewodniczącym parlamentu, którego rubaszny śmiech grzmiał na pół widowni.

Finał trzeciego aktu. Kwiaty na scenie. Owacja dla chuderławej aktorki. Trzask zwalnianych strapontenów. Tupot kroków między rzędami.

Gdy Maigret odwrócił się ku łożu, Mortimera nie było.

*

Zaraz akt czwarty i ostatni. Oto pora, gdy niektórzy widzowie chodzą za kulisy do garderób aktorów i aktorek. Inni oblegali szatnię. Niepokojono się o samochody i taksówki.

Maigret stracił dobre dziesięć minut na szukanie Mortimera w gmachu teatru. Potem bez kapelusza i płaszcza; rozpytywał policjantów, gońców, Straż Miejską.

W końcu dowiedział się, że samochód Mortimera właśnie odjechał. Pokazano mu miejsce, gdzie stał, naprzeciw bistra odwiedzanego przez handlarzy kontramarek.

Auto pojechało w stronę bramy Saint Martin. Amerykanin nie wziął z szatni okrycia.

Widzowie stali w grupach, oddychając świeżym powietrzem tam, gdzie mogli się schronić przed ulewą.

Komisarz palił fajkę z rękami w kieszeniach, posępny i zły na siebie.

Znów odezwał się dzwonek. Publiczność runęła do środka. Zniknęła nawet Straż Miejska, chcąc obejrzeć koniec sztuki.

Bulwary o jedenastej wieczorem wyglądały jak zwykle zaniedbane. Strugi deszczu w kręgach światła były coraz rzadsze.

Z jakiegoś kina wyległ tłum, gaszono lampy, wciągano tablice reklamowe, zamykano drzwi.

Ludzie czekali pod latarnią na autobus. Kiedy nadjechał, zaczęła się sprzeczka, bo nie był oznakowany. Nadbiegł policjant i szarpał się jeszcze z jakimś grubasem, kiedy autobus już dawno odjechał.

W końcu lekki szmer limuzyny po asfalcie. Drzwiczki otwarto, nim się zatrzymała. Mortimer we fraku, z odkrytą głową, wbiegł na schody tarasu i zniknął w ciepłym świetle korytarzy.

Maigret przyjrzał się kierowcy. Był to stuprocentowy Amerykanin, o twardych rysach, pokaźnych szczękach, nieruchomy za kierownicą, w liberii jak w gorsecie.

Komisarz uchylił jedne z wyciszonych drzwi. Mortimer stał w głębi łoży. Aktor rzucał patetyczne zdania. Kurtyna opadła. Kwiaty. Oklaski przybierające na sile.

Gonitwa ku wyjściu. Znowu „cisza!” Aktor wymienił nazwisko autora, sprowadził go z pierwszego rzędu na środek sceny.

Mortimer całował dłonie kobiet, inne ścisnął, dał sto franków napiwku bileterce, która mu przyniosła narzutkę.

Jego żona była blada, miała fioletowo podkrążone oczy. Gdy oboje znaleźli się w aucie, nastął moment decyzji.

Trwała dyskusja. Pani Levingston oponowała. Jej mąż zapalił cygaretkę, pstryknął ostro zapalniczką.

W końcu rzucił coś szoferowi i auto ruszyło, a za nim taksówka Maigreta.

*

Było pół do pierwszej. Ulica La Fayette. Bielejące kolumny Trinite w rusztowaniach. Ulica Clichy.

Limuzyna zatrzymała się na ulicy Fontaine, naprzeciw „J3aru Pickwicka”. Błękitno–złoty portier. Szatnia. Purpurowe obicia ścian i frazy tanga.

Wszedł i Maigret. Usiadł blisko drzwi, przy stoliku, chyba nigdy nie zajmowanym, bo wystawionym na bezustanny przeciąg.

Mortimerowie zajęli stół obok orkiestry jazzowej. Amerykanin przeglądał kartę dań i układał menu kolacji. Fordanser skłonił się przed jego żoną.

Zatańczyła. Levingston obserwował ją z napiętą uwagą. Wymieniła kilka słów z partnerem, lecz ani razu nie zbliżyła się do miejsca, gdzie siedział Maigret.

Wśród gości w strojach wieczorowych było także paru cudzoziemców, ubranych zwyczajnie.

Komisarz odprawił gestem dziewczynę, która chciała się przysiąść. Nie pytając, ustawiono przed nim butelki’ szampana.

Gęsto wisały serpenty. Rzucano sobie piłeczki z waty. Jedna uderzyła Maigreta w nos, więc popatrzył surowo na starszą panią, która w niego celowała. Pani Mortimer wróciła na miejsce. Tancerz, zapalając papierosa, kręcił się chwilę po parkiecie, blisko wyjścia.

Nagle podniósł czerwoną, aksamitną kotarę i zniknął. Mniej więcej po trzech minutach komisarzowi wpadło do głowy, by rzucić okiem na zewnątrz.

Tancerza nie było.

Dalszy ciąg wieczoru okazał się nudny i długi. Kolacja Mortimerów była urozmaicona: kawior, trufle w szampanie, homar po amerykańsku, sery.

Pani Mortimer więcej nie tańczyła.

Maigret, który nie znosił szampana, pił go łyżkami, aby się czegoś napić. Przed nim stały prażone migdały, których niestety, parę rozgryzł, co jeszcze zwiększyło jego pragnienie.

Spojrzał na zegarek: godzina druga.

Kabaret się wyludniał. Tancerka prezentowała swój numer przy kompletnej obojętności obecnych. Jakiś pijany cudzoziemiec z trzema kobietami przy stoliku robił więcej hałasu, niż wszyscy inni razem.

Tancerz, nieobecny ledwie przez kwadrans, zaprosił jeszcze parę dam. Ale to był koniec. Czulo się znużenie.

Pani Mortimer miała ziemistą cerę i sine powieki. Jej mąż skinął na boya. Przyniesiono im futro, narzutkę i cylinder.

Maigret odniósł wrażenie, że tancerz, stojący obok saksofonisty, nie przerywając rozmowy, patrzy na niego z lękiem.

Wezwał kierownika sali, lecz ten się spóźniał. Jeszcze parę zmarnowanych minut.

Gdy komisarz na koniec wyszedł, auto Mortimerów skręcało już w ulicę Notre-Dame-de-Lorette. Przy chodniku stało kilka wolnych taksówek.

Zbliżył się do jednej z nich.

Huknął strzał i Maigret przyłożył rękę do piersi, rozejrzał się, niczego nie zauważył, usłyszał tylko kroki oddalające się ulicą Pigalle.

Z rozpędu przeszedł jeszcze parę metrów i zachwiał się. Portier skoczył i podtrzymał go. Z „Baru Pickwicka” wyszli ludzie, by zobaczyć, co się dzieje. Między nimi Maigret dojrzał skuloną postać tancerza.

ROZDZIAŁ 8

MAIGRET PRZEGRYWA GRĘ

Taksówkarze, którzy „biorą noc” na Montmartrze, rozumieją wszystko w lot, nawet gdy im się nic nie mówi.

Kiedy padł strzał, jeden z tych, co stali naprzeciw „Baru Pickwicka”, otworzył Maigretowi drzwiczki. Nie wiedział, kto to taki. Może się domyślił po wyglądzie, że ma do czynienia z policjantem?

Klienci baru już się zbliżali. Za chwilę tłum otoczy rannego. Taksówkarz więc zręcznie chwycił komisarza z rąk portiera, który nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. W niecałe pół minuty samochód z Maigretem odjechał.

Auto pędziło może dziesięć minut i zatrzymało się w pustej ulicy. Szofer otworzył tylne drzwi, ujrzał swego pasażera siedzącego prawie normalnie, z jedną ręką wsuniętą pod marynarkę.

— Widzę, że to nic poważnego?... Gdzie pana zawieźć?

Maigret był jednak trochę przejęty, może właśnie dlatego, że rana okazała się powierzchowna. Skórę na piersi miał rozciętą, kula otarła się o żebro i wyszła blisko łopatki.

— Prefektura Policji...

Kierowca coś mruknął. W drodze Maigret się rozmyślił.

— Do Majestiku... Wysadzi mnie pan koło drzwi służbowych, na ulicy Ponthieu...

Zwinął chusteczkę i przyłożył do rany. Stwierdził, że zatamował krwawienie.

W miarę, jak się zbliżali do centrum Paryża, jego rysy wyrażały nie tyle ból, co zaniepokojenie.

*

Przy wysiadaniu szofer chciał mu pomóc. Odprawił go ruchem dłoni, minął chodnik pewnym krokiem. W ciemnym korytarzu znalazł za okienkiem dyżurki sennego dozorcę.

— Nic się nie stało?

— O czym pan mówi?

Było zimno. Maigret wrócił, uregulował należność. Taksówkarz gderał, bo za kurs w takich warunkach otrzymał jedynie sto franków.

Maigret wyglądał dziwnie. Dłoń z chusteczką uciskała ranę pod marynarką. Jedno ramię było wyższe od drugiego. Starał się oszczędzać siły. Czuł się trochę zamroczony, chwilami jakby wznosił się w powietrze. Usiłował zapanować nad sobą, odzyskać jasność umysłu i kontrolować ruchy.

Wszedł po żelaznych schodach na piętro, po czym otworzył jakieś drzwi. Był tam korytarz, zgubił się w labiryncie, odkrył następne schody, podobne do tamtych, ale z inną numeracją.

Błądził po zapleczu hotelu. Na szczęście spotkał gdzieś kucharza w białej czapce, który na jego widok cofnął się przestraszony.

— Niech mnie pan zaprowadzi na pierwsze... Obok apartamentu Mortimera...

Lecz po pierwsze mistrz patelni nie znał nazwisk gości, po drugie nie odrywał wzroku od zakrwawionej twarzy Maigreta, gdzie ten przetarł ją dłonią.

Ogromny mężczyzna, w płaszczu niedbale narzuconym, z ręką ukrytą na piersiach, która wypychała mu kamizelkę i marynarkę — napełniał kucharza bezgranicznym strachem.

— Policja! — zniecierpliwził się Maigret.

Czuł, że lada chwila dostanie zawrotu głowy. Ranę przeszywał ból, jak przy ciosie sztyletem. Kucharz ruszył się w końcu, nie spoglądając za siebie. Po jakimś czasie stopy Maigreta zanurzyły się w chodniku. Opuścił część służbową i znalazł się w hotelowej.

Zobaczył w końcu spłoszoną pokojówkę.

— Apartament pana Mortimera?

— Niżej... Ale pan...

Zszedł po schodach, kiedy wśród personelu rozeszła się już wieść, że jakiś niesamowity człowiek, ranny, krąży niczym duch po hotelu.

Na chwilę oparł się o ścianę, zostawił na niej krwawy ślad, a trzy ciemnoczerwone kropelki upadły na podłogę.

Znalazł w końcu apartament Mortimera, a w sąsiedztwie pokój, gdzie zainstalował się Torrence. Chwiejnie podszedł, otworzył drzwi. W pokoju paliło się światło. Na stole wały się resztki kolacji i stały butelki.

Maigret zmarszczył brwi. Nie widział kolegi. W powietrzu czuło się woń szpitala.

Zrobił jeszcze parę niepewnych kroków. I nagle zatrzymał się przed kanapą.

Wystawała zza niej noga w czarnym bucie.

*

Próbował trzy razy, lecz jak tylko odejmował rękę od rany, krew zaczynała płynąć alarmująco. Chwycił serwetkę leżącą na stole, włożył pod kamizelkę, silnie przewiązał. Mdlil go odór wiszący w pokoju.

Z trudem uniósł kanapę z jednej strony, przewrócił na bok.

Tego się spodziewał: leżał za nią Torrence, skurczony, z wykręconą ręką, jakby go przełamano, żeby zmieścić się na skąpej powierzchni.

Dół twarzy zasłaniała mu luźno rzucona opaska. Maigret uklęknął. Ruchy miał ostrożne, wręcz powolne, może ze względu na swój własny stan. Z wahaniem dotknął ręką piersi Torrence'a. Gdy odszukał serce, zmartwiało. I pozostał tam, bez ruchu, na dywanie, nie odwracając oczu od swego towarzysza.

Torrence nie żył. Usta Maigreta nieznacznie drgnęły. Zacisnął pięść. I gdy oczy zasnuła mu mgła, rzucił w ciszej pokoju ciężkie przekleństwo.

Twarz Maigreta skamieniała. Nie płakał. Tego chyba nie umiał. Lecz w jego rysach było tyle wściekłości i bólu; a zarazem zaskoczenia, że graniczyło to z osłupieniem.

Torrence miał trzydzieści lat. Od pięciu pracował właściwie tylko z komisarzem.

Usta miał otwarte, jakby w desperackim wysiłku chciał złapać trochę powietrza.

Piętro wyżej któryś z przyjezdnych, dokładnie nad nimi głośno zrzucił buty na podłogę.

Maigret rozejrzał się, szukając wroga. Oddychał ciężko.

Upłynęło wiele minut, zanim wstał.

Zbliżył się do okna i je otworzył. Widział pustawy ciąg pól Elizejskich. Nastawił czoło na orzeźwiająca mżawkę. Podniósł opaskę którą zdjął z twarzy Torrence'a.

Była to adamaszkowa serwetka z inicjałami Majestiku. Zalaływa jeszcze wonią chloroformu. Maigret stał nadal, w głowie miał pustkę, jedynie kilka chaotycznych myśli kołatało się w niej boleśnie.

Tak jak wcześniej na korytarzu oparł się o ścianę i mięśnie twarzy nagle mu zwiotczały. Wydawał się postarzały i bezsilny. Może w tej chwili gotów był się rozplakać? Nie, na to był za wielki, za odporny, za twardy.

Kanapa leżała ukośnie przy nakrytym stole. Na talerzu obok niedojezionej kury został niedopałek papierosa.

Komisarz wyciągnął rękę do telefonu, ale go nie dotknął. Strzepnął niecierpliwie palcami, wrócił do zwłok i długo im się przyglądał.

Z ironią i goryczą myślał o regulaminie, Prokuraturze, koniecznych ostrożnościach.

Ale czy to miało jakieś znaczenie? Chodziło o Torrence'a! Jakby o niego samego.

Torrence, który był jednym z nich, który...

Rozpiął trupowi kamizelkę tak napięty przy zewnętrznym spokoju, że wyrwał z niej dwa guziki. Wówczas coś zauważył i twarz mu pociemniała.

Na koszuli w okolicy serca widniał mały, brunatny Punkt, mniejszy od ziarenka grochu. Lśniła jedynie kropelka krwi wielkości główki od szpilki.

I Maigret najeżył się w przypiływie pogardy, której nie był zdolny wyrazić.

Jako metoda zabójstwa, było to odrażające, ale i perfekcyjne. Nie szukał niczego więcej. Znał ten sposób. Opublikowano go parę miesięcy temu w niemieckim piśmie kryminologicznym.

Serweta nasączona chloroformem w dwadzieścia, trzydzieści sekund pozbawia ofiarę wszelkiego oporu. Wtedy morderca bez pośpiechu wbija długą szpilę między dwa żebra, szukając serca, źródła życia. Fachowo, nie zostawiając śladu na ciele.

Dokładnie takie morderstwo popełniono w Hamburgu sześć miesięcy wcześniej. Kula może nie trafić, albo tylko zranić, jak w przypadku, Maigreta. Strzał robi hałas, brudzi.

Szpila, którą wprowadza się do serca nieprzytomnego człowieka zabija naukowo, bezbłędnie.

*

Komisarz przypomniał sobie pewien szczegół. Wieczorem kiedy zarządca uprzedził go o wyjeździe Mortimerów a on jadł ze smakiem udko kury siedząc na ciepłym kaloryferze, o mało nie został w hotelu, zamiast siebie wyprawiając do teatru inspektora.

Poruszony tą myślą spojrział na leżącego kolegę jakby ze wstydem, w okropnym samopoczuciu, nie dociekając, czy to z powodu rany, emocji, lub ciężkiej woni chloroformu.

Nie, nie miał zamiaru prowadzić śledztwa jak należy, wedle obowiązujących przepisów!

Tu przecież leżał Torrence! Torrence, który był z nim każdej niemal sprawie przez ostatnie lata!

Torrence, któremu starczało jedno słowo, by zrozumiał, o co chodzi.

Torrence, który miał otwarte usta, aby jeszcze zaczerpnąć nieco tlenu i jednak żyć! Maigret, który nie po szlochać, czuł się chory, nieporadny, z ciężarem przytłaczającym ramiona i z obrzydzeniem w duszy.

Znów podszedł do telefonu. Mówił tak cicho, że kazano mu nieraz powtarzać słowa:

— Prefektura?... Tak... Halo!... Prefektura!... Kto mówi?... Co?... Tarraud?... Słuchaj, mały... Biegnij do szefa... Tak, do niego... I powiedz... powiedz mu, żeby przyszedł do mnie, jestem w Majestiku... Natychmiast... Jaki pokój? Nie wiem, ale go zaprowadzą... Co?... Nie, to wszystko... Halo!... Co powiedziałaś?... Nie, nic mi nie jest.

Odłożył słuchawkę, bowiem kolega dopytywał się, słysząc jego niezwykle głos i jeszcze bardziej niezwykle polecenie.

Stał chwilę z opuszczonymi rękami. Unikał wzrokiem miejsca, gdzie leżał Torrence. Obejrzał się w lustrze i stwierdził, że jego serwetka przesiąkła krwią na wylot. Mozolnie zdjął marynarkę.

Kiedy Dyrektor Wydziału Śledczego, z tutejszym urzędnikiem zapukał po godzinie — ujrzał Maigreta w ledwie uchylonych drzwiach.

— Może pan odejść — rzekł Maigret cicho do urzędnika.

I otworzył dopiero, gdy tamten zniknął. Wtedy dyrektor zobaczył, że Maigret jest półnagi. Drzwi od łazienki były szeroko otwarte. Na ziemi widniały plamy czerwonej wody.

— Niech pan szybko zamyka! — rzucił komisarz ostro, nie zważając na hierarchię.

Po prawej stronie torsu miał bardzo rozległą i nabrzmiąłą ranę. Szelki zwisały mu do kolan.

Wskazał ruchem głowy, z palcem na ustach kąt, gdzie leżał Torrence.

— Cicho!

Dyrektorem wstrząsnął dreszcz. Wyszeptał:

— Nie żyje?

Głowa Maigreta opadła.

— Szefie, czy może mi pan trochę pomóc? — spytał głucho.

— Ale pan... To bardzo ciężka...

— Głupstwo. Kula przeszła szczęśliwie na wylot. Proszę mi pomóc zawinąć to wszystko...

Zebrał ze stołu nakrycie, postawił na ziemi, rozdarł obrus na dwoje.

— Gang Łotysza — wyjaśnił. — Mnie się nie pozbyli... Ale uprzątnęli mego Torrence'a...

— Oczyścił pan ranę?

— Tak, mydłem i jodyną...

— Sądzi pan, że...

— Na razie wystarczy... To była szpila, szefie! Zabili go szpilą, po uśpieniu...

Był niepodobny do siebie. Jak widziany i mówiący przez tiulową firankę, która zaciera obrazy i dźwięki.

— Proszę mi włożyć koszulę...

Jego głos był nijaki. Ruchy zwolnione, nieskładnej Twarz bez wyrazu.

— Musiałem pana tu sprowadzić. Chodzi o jednego z nas... Nikt inny nie może wiedzieć.

Niech go jak najszybciej zabiorą. I ani słowa dla prasy... Szefie, chyba pan ufa?

Głos mu się jednak lekko załamał.

To wzruszyło przełożonego. Uścisnął mu dłoń.

— No, no, Maigret!... Co się z panem dzieje?

— Nic! Przysięgam, że jestem całkowicie spokojny. Nigdy nie byłem taki spokojny. Ale teraz to rzecz mię nimi a mną... Pan rozumie...

Dyrektor pomógł mu włożyć kamizelkę i marynarkę. Na skutek opatrunku, który pogrubiał mu talię, komisarz stał się nieforemny, zmieniła mu się sylwetka, jakby nagle utył.

Spojrzał w lustro z ironicznym grymasem. Dokładnie czuł własną słabość. To już nie był twardy, lity blok, pełen energii, który zwykł ukazywać swym przeciwnikom.

Na jego bladej, poplamionej krwią twarzy, zaznaczały się już ciężkie worki pod oczami.

— Dziękuję, szefie... Sądzi pan, że jeśli chodzi o Torrence'a, to jest możliwe?

— Uniknięcie rozgłosu? Tak... Zawiadomię Prokuraturę. Osobiście spotkam się z prokuratorem.

— Dobra. A teraz biorę się do roboty... — oświadczył, przyglądając rozwichrzonym włosom. Następnie podszedł do Torrence'a, spytał cicho:

— Mogę zamknąć mu oczy? Pewnie chciałby, żeby to ja...

Palce mu drżały. Chwilę trzymał je na powiekach zabitego, jakby je głaskał. Dyrektor, mniej opanowany, rzekł błagalnie:

— Maigret!

Komisarz się podniósł, rozejrzał wokoło.

— Do zobaczenia, szefie... I nie trzeba mówić żonie, że jestem ranny...

Jego sylwetka wypełniła przez moment całą szerokość drzwi.

Dyrektor Wydziału Śledczego miał ochotę go zatrzymać, ponieważ komisarz obudził w nim niepokój.

Podczas wojny towarzysze broni mówili mu nieraz „do zobaczenia” równie spokojnie, z tą samą nierealną pewnością siebie, zanim ruszyli do ataku.

I nigdy już więcej ich nie zobaczył!

ROZDZIAŁ 9

PLATNY MORDERCA

Gangi międzynarodowe, specjalizujące się w głośnych oszustwach, zabijają rzadko. Można nawet przyjąć, że nie zabijają wcale. Szczególnie te, które decydują się na zdobycie wielu milionów. Do swego procederu używają metod bardziej skomplikowanych i większość członków gangu to dżentelmeni, którzy nie noszą przy sobie broni.

Czasem jednak zabijają, regulując wzajemne porachunki. Co roku notuje się kilka zbrodni, niemożliwych do wykrycia. Bez ustalenia tożsamości ofiary — i grzebie się ich pod nazwiskami, o których wiadomo, że są fałszywe.

W takim przypadku chodzi albo o zdrajcę, albo o człowieka, który pod wpływem alkoholu staje się gadatliwy i nieostrożny, lub o współnika, którego ambicja może okazać się zagrożeniem dla własnej, zdobytej władzy.

W Ameryce, kraju specjalizacji, morderstwo nie jest nigdy dziełem członka bandy. Od tego są fachowcy, tak zwani „płatni mordercy”, którzy niczym wykonawcy najwyższej kary z urzędu, mają pomocników i określoną taryfę.

W Europie niekiedy dzieje się podobnie. Jak na przykład w sławnym gangu francuskim, gdzie pospolici wykonawcy kończyli na szafocie, opłacani przez zbrodniarzy wyższej rangi, którzy w ten sposób nie musieli sobie brudzić rąk.

Maigret znał tę regułę.

Zszedł na parter, do biura Majestiku.

— Jeśli gość zamawia telefonicznie posiłek, to z kim się łączy? — spytał.

— Z kelnerem, który obsługuje apartamenty.

— W nocy także?

— Przepraszam. Od dziewiątej wieczorem jest kelner nocny.

— Gdzie zwykle przebywa?

— W suterenie.

— Niech ktoś mnie tam zaprowadzi.

Raz jeszcze zagłębił się w podziemiach tego luksusowego mrowiska, obsługującego tysiąc podróżnych.

Operatora znalazł przed centralką telefoniczną, w sąsiedztwie kuchni. Na stoliku leżał graficzny rozkład pokojów. O tej godzinie było spokojnie.

— Czy brygadier Torrence dzwonił do pana między dziewiątą wieczór, a drugą w nocy?

— Torrence?

— Policjant z niebieskiego gabinetu, obok trójki... — wyjaśnił skrótowo pracownik biura.

— Nie dzwonił.

— I nikt nie wchodził na górę?

Rozmowanie było proste. Torrence został napadnięty w pokoju, przez kogoś, kto oczywiście tam wszedł. Aby założyć knebel morderca zbliżył się od tyłu, a Torrence nie wydawał się zaskoczony jego zachowaniem.

Wszystkie te warunki spełniał jedynie ktoś z personelu. Otóż albo inspektor go zawołał, albo przyszedł z własnej inicjatywy żeby, dajmy na to, uprzątnąć stół.

Maigret cierpliwie i spokojnie zadał pytanie inaczej:

— Kto z pracowników wyszedł z roboty przed czasem?

Telefonista był zdumiony.

— Jak się pan dowiedział? To zupełny przypadek... Pepito dostał telefon, że jego brat zachorował...

— O której godzinie?

— Mniej więcej o dziesiątej.

— Gdzie był wtedy?

— Na górze.

— Przez który aparat rozmawiał?

Zadzwonili do głównej centrali. Tam ich powiadomiono, że nikt do Pepita nie telefonował.

Sprawa posuwała się gładko! A jednak Maigret by wciąż niezadowolony i posępny.

— Jego karta?... Chyba macie jego kartę?

— Nie w dosłownym znaczeniu. Przynajmniej nie zwanej obsługi salowej, która często się zmienia.

Trzeba było udać się do sekretariatu, gdzie o tej porze nie było nikogo. Mimo to Maigret przewertował księguj znalazł:

„Pepito Moretto, hotel Beauséjour, ulica de Batignolles 3. Zatrudniony od...”

— Połączcie mnie z hotelem Beauséjour...

Na razie rozpytywał innych, dowiedział się, że Pepit Moretta przyjęto do Majestiku z rekomendacji pewnego starszego kelnera, Włocha, na trzy dni przed przybyciem Mortimer-Levingstonów. Nie miano mu nic do zarzucenia jako pracownikowi. Z początku obsługiwał „salę”, a poi niej, na własną prośbę, „apartamenty”.

Hotel Beauséjour był na linii.

— Halo?... Proszę zawołać Pepito Morettę... Halo!... Co takiego?... Z bagażami?... O trzeciej rano? Dziękuję... Halo! Jeszcze jedno pytanie... Czy dostawał korespondencję?... Nigdy?... Dziękuję, to wszystko.

I Maigret odłożył słuchawkę, tak samo nienormalnie spokojny.

— Która godzina? — spytał.

— Piąta dziesięć.

— Wezwijcie mi taksówkę. Kierowcy podał adres „Baru Pickwicka”.

— Lokal zamykają o czwartej.

— Nieważne.

Samochód stanął naprzeciw opuszczonych żaluzji kabaretu. Pod drzwiami przenikało światło. Maigret wiedział, że zazwyczaj personel nocnych lokali, liczący kilkadziesiąt osób, przed wyjściem jada kolację na miejscu.

Jedzono w sali, niedawno zajmowanej przez gości. Usuwano serpentyny, posługiwaczki zabierały się do roboty.

Maigret nie wszedł do „Pickwicka”. Skręcił na tył kabaretu, dostrzegł na ulicy Fontaine trafikę, gdzie muzycy z pobliskich lokali spotykają się na ogół wieczorem, między dwoma kawalkami, albo po pracy.

Bistro było jeszcze otwarte. Kiedy Maigret wszedł, trójka mężczyzn piła przy kontuarze wzmocnioną kawę i rozbawiała na bieżące tematy.

— Zostałem Pepita?

— Dawno wyszedł — odparł barman.

Komisarz spostrzegł, że któryś, chyba go poznając, dał właścicielowi znak ostrzegawczy. — Umówiłem się z nim na drugą — dodał.

— Był tutaj...

— Wiem... Kazałem tancerzowi z przeciwka mu coś przekazać.

— Josemu?

— Właśnie. Miał uprzedzić Pepita, że jestem zajęty.

— Jose rzeczywiście tu był... Rozmawiał chwilę z Morettą.

Ten, który dawał znaki właścicielowi, bębnił palcami o kontuar. Był blady ze złości. Tych parę zdań, które się wymknęły barmanowi, mogły mieć poważne skutki.

O dziesiątej wieczorem, lub trochę wcześniej, Pepito zamordował w Majestiku Torrence'a.

Zapewne otrzymał dokładne instrukcje, bo natychmiast opuścił służbę pod pretekstem choroby brata, zjawił się w barze na rogu ulicy Fontaine i tam czekał.

W pewnym momencie tancerz, którego nazwano José, przebiegł ulicę i dał mu polecenie, dziecinnie łatwe do odgadnięcia: „strzelić do Maigreta, gdy wyjdzie z Pickwicka”.

Czyli w ciągu paru godzin dwie zbrodnie. I tak dwie najbardziej niebezpieczne dla gangu Łotysza osoby miały być usunięte.

Pepito strzela, ucieka. Jego rola jest skończona. Nikt go nie widział. Może więc zabrać swoją walizkę z hotelu Beausejour.

Maigret uregulował rachunek, wyszedł, odwrócił się i zobaczył, jak tamci bombardują gospodarza wyrzutami.

Zapukała do drzwi „Baru Pickwicka”. Otworzyła sprzątaczką.

Jak przewidywał, jedli kolację wokół zsuniętych stolików. Były to pozostałości kur, przepiórek, dodatków, wszystko, czego nie zjedli goście. Trzydziestu obecnych spojrzało na komisarza.

— Dawno Jose wyszedł?

— Naturalnie... Zaraz potem jak...

Ale szef personelu rozpoznał Maigreta, którego sam obsługiwał. Szturchnął łokciem tego, co mówił. Maigret nie próbował grać komedii.

— Jego adres! I żaden lipny!... Bo inaczej to wam się dostanie...

— Nie wiem... Tylko właściciel...

— Gdzie jest teraz?

— W swojej posiadłości, w Varenne...

— Dajcie mi rejestr!

— Ale...

— Spokój!

Niby go szukali w biurku za estradą dla orkiestry. Maigret ich rozepchnął, znalazł natychmiast, przeczytał:

„Jose Latourie, ulica Lepic 71”.

Wyszedł ciężko, jak przyszedł, a tamci bez większej ochoty wrócili do jedzenia.

Ulica Lepic była o dwa kroki. Ale numer 71 znajduje się dość wysoko na pochyłej ulicy. Musiał dwa razy odpoczywać, by złapać oddech.

Na koniec stanął przed wejściem do pensjonatu, w rodzaju hotelu Beausejour, lecz jeszcze nędzniejszym. Zadzwoił. Drzwi otworzyły się automatycznie. Stuknął w lufcik i kilkunastoletni portier wylaźł niechętnie z łóżka.

— Jose Latourie?

Chłopiec sprawdził tablicę nad rozkładanym legowiskiem.

— Nie wrócił. Klucz jest.

— Dawać! Policja!

— Ale...

— Szybko!

Rzeczywiście tej nocy nikt mu się nie sprzeciwił, choć brakowało mu zwykłej surowości i powagi. Lecz może czuli instynktownie, że to coś groźniejszego?

— Które piętro?

— Czwarte!

Pokój był wąski, długi i zatęchły. Łóżko rozłamane. Jose, jak inni w jego fachu, wylegiwał się do godziny czwartej po południu, kiedy hotelarze odmawiają już sprzątaną.

W barłogu leżała zniszczona piżama, wytarta na kołnierzu i łokciach. Na ziemi przydeptane, rozdarte na piętach sandały, jako domowe pantofle.

— W obszernej torbie z imitacji skóry były tylko stare gazety i czarne, połatane spodnie.

Nad umywalką mydło, słoik z kremem, tabletki aspiryny i fiolka weronalu.

Na podłodze zobaczył kawałek zmiętego papieru. Nie musiał zbliżać go do nosa, by stwierdzić, że zawierał morfinę.

Po kwadransie wszechstronnych oględzin, komisarz zwrócił uwagę na szczelinę w obiciu jedyne go fotela. Wsadził do niej palce i wyjął kolejno jednaście opakowań tego samego narkotyku, każde o wadze jednego grama. Włożył je do portfela, zszedł na dół. Na Placu Blanche zatrzymał policjanta, dał mu instrukcje i mundurowy stanął niedaleko drzwi pensjonatu.

Maigret przypomniał sobie młodego, czarnowłosego tancerza. Był to chorowity żigolak o uciekającym wzroku, który, zdenerwowany potracił jego stolik, wracając po spotkaniu z Morettą.

Tego złapią dziś lub jutro, ponieważ był nieodporny, żył w ciągłym strachu.

Pepito natomiast odznaczał się zimną krwią. Może w tej chwili czeka na dworcu, by odjechać najbliższym pociągiem? Może ukrył się gdzieś pod Paryżem, lub tylko zmienił dzielnicę i hotel?

Maigret skinął na taksówkę. O mało nie podał adresu Majestiku, ale obliczył, że tam jeszcze nie skończono wizji lokalnej, czyli że Torrence leży ciągle w pokoju.

— Quai des Orfèvres...

Przechodząc obok Jeana domyślił się, że tamten już wie co się stało i odwrócił głowę, jakby czuł się winny.

Nie obchodził go piec. Nie zdjął marynarki. Nie rozluźnił kołnierzyka.

Dwie godziny trwał osowiały, z łokciami na biurku i już świtało, kiedy pomyślał o kartce, zostawionej tu chyba w nocy.

„Do komisarza Maigreta. Pilne.

Mężczyzna we fraku wszedł pół do dwunastej do hotelu „Roi de Sicile” i był tam dziesięć minut. Odjechał limuzyną. Rosjanin nie wychodził”.

Maigret nie reagował. A wiadomości były istotne i nadchodziły prawie jednocześnie. Naprzód telefon z komisariatu dzielnicy Courcelles.

— Niejaki Jose Latourie, fordanser, znaleziony martwy obok wejścia do parku Monceau. Trzy uderzenia nożem. Jego portfel jest nietknięty. Nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach popełniono morderstwo.

Ale Maigret wiedział. Natychmiast zrozumiał, że Pepito musiał pójść za młodym człowiekiem, gdy ten wyszedł z „Pickwicka”. Moretto, czując, że tamten jest bardzo podniecony i gotów się z czymś zdradzić, zamordował tancerza, nie zabierając mu nawet portfela i dokumentów. A może było to wyzwanie? Myśleliście, że przez niego dojdziecie do nas? No to zobaczcie — jakby sztychł.

Pół do dziewiątej. W aparacie głos zarządcy Majestiku.

— Halo!... Komisarz Maigret?... To nie do wiary! Przed kilku minutami zadzwoniła siedemnastka. Siedemnastka! Pan rozumie?... To tam, gdzie...

— Tak, Oswald Oppenheim... I co?

— Wysłałem kelnera... Oppenheim leży sobie w łóżku, jakby nigdy nic i zamówił śniadanie...

ROZDZIAŁ 10

POWRÓT OSWALDA OPPENHEIMA

Maigret siedział bez ruchu dwie godziny. Gdy się podniósł, rękę miał prawie bezwładną. Zawołał Jeana, by pomógł mu nałożyć płaszcz.

— Proszę wezwać taksówkę...

W kilka minut później znalazł się u doktora Lecourbe na ulicy Monsieur le Prince. Sześciu policjantów siedziało w poczekalni, ale zaprowadzono go bokiem przez mieszkanie i kiedy gabinet się zwolnił, lekarz go przyjął.

Wyszedł dopiero po godzinie. Nałożono mu opatrunek i obandażowano. Cienie pod oczami miał tak głębokie, ich wyraz tak zmieniony, jak by pokrył twarz warstwą szminki.

— Ulica Roi de Sicile... Niech pan zaczeka...

Dwóch inspektorów spacerowało przed hotelem. Wyszedł z auta, zbliżył się do nich.

— Nie pokazał się?

Nie... Jeden z nas cały czas był tutaj.

— Kto wychodził z hotelu?

— Jakiś zgarbiony staruszek, potem dwóch młodych ludzi, potem kobieta około trzydziestki...

Maigret wzruszył ramionami, westchnął:

— Staruszek nosił brodę?

— Tak...

Odszedł bez słowa, wdrapał się na kręte schody, mii pomieszczenie hotelarza. Załomotał do drzwi pokoju numer 32. Odpowiedział mu kobiecy głos w nieznanym języku. Drzwi ustąpiły i zobaczył Annę Gorskinę prawie naga, wstającą z łóżka.

— Gdzie twój kochanek? — rzucił.

Mówił przez zęby, w pośpiechu nie sprawdzał nawet czy tamten jest w pokoju.

Anna Gorskina krzyknęła:

— Wynocha!... Nie ma pan prawa!...

Obojętnie podniósł znajomy trenecz. Szukał czegoś innego. Dojrzał obok łóżka stare szare spodnie Fiodora Jurowicza.

Nie było jednak męskich bucików.

Żydówka nakładając szlafrok patrzyła na komisarza z wściekłością.

— Pan sobie myśli, że jak z nas obcy...

Nie dał jej czasu na atak furii. Wyszedł, spokojnie; zamknął drzwi, które otwarła, nim zszedł. Na podeście tylko głośno dyszała, nic nie mówiąc. Przechylona nad poręczą śledziła go wzrokiem i nagle, nie panując nad sobą, żadna odwetu, plunęła.

Ślina spadła kilka centymetrów obok Maigreta.

Inspektor spytał:

— I co?

— Będziesz jej pilnował. Ona nie może przebrać się za staruszkę...

— Chcę pan powiedzieć, że...

Ależ nie! Nie chciał nic powiedzieć. Nie miał ochoty rozmawiać. Wsiadł do taksówki.

— Do Majestiku!

Zmartwiony i poniżony inspektor spoglądał za odjeżdżającym.

— Trzymaj się! — krzyknął mu.

Nie zamierzał także go ukarać. Dał się oszukać i to nie była jego wina. Czyż on, Maigret, nie pozwolił, aby zabito Torrence'a?

*

Zarządca czekał na progu i to było coś nowego.

— Wreszcie!... Pan chyba się orientuje... Już nie wiem, co robić... Przyjechali zabrać pańskiego... pańskiego przyjaciela. Upewniono mnie, że gazety nie będą pisać... Ale „tamten” jest u nas, tutaj!

— Nikt go nie zauważył, jak wracał?

— Nikt... O to właśnie chodzi... Jak panu mówiłem telefonicznie, dzwonił. Gdy kelner przyszedł, zamówił kawę... Leżał w łóżku...

— A Mortimer?

— Sądzi pan, że istnieje jakiś związek?... Niemożliwe! To człowiek znany... Ministrowie, bankierzy składali mu u nas wizyty...

— Co z Oppenheimem?

— Wziął kąpiel. Teraz pewnie się ubiera.

— Mortimer?

— Mortimerowie jeszcze nie dzwoniли... Śpią...

— Proszę mi opisać Pepito Morettę.

— Tak... Powiedziano mi... Osobiście nigdy go nie widziałem... To znaczy nie zauważyłem... Mamy tyle personelu!... Ale się dowiedziałem... Niski, smagły brunet, dobrze zbudowany, całymi dniami nie odzywał się do nikogo.

Maigret zanotował rysopis na kartce, włożył ją do koperty z przeznaczeniem dla swego szefa. Nie licząc odcisków palców, które na pewno znaleziono w pokoju, gdzie zginął Torrence, dane były wystarczające.

— Proszę to odesłać do Prefektury.

— Tak, panie komisarzu.

Zarządca zrobił się uprzedzająco grzeczny, bo czuł, że wydarzenia mogą mieć dla hotelu fatalne skutki.

— Co pan zamierza?

Ale Maigreta już nie było. Wielki, niezgrabny, stanął pośrodku holu, niczym turysta zwiedzający historyczne kościoły, gdy stara się odgadnąć bez pomocy zakrystiana co jest w nich interesującego.

Zabłąkany promień słońca rozświetlił złotem hali Majestiku. O dziewiątej rano było prawie pusto. Nieliczni goście jedli śniadanie przy oddzielnych stolikach, czytając gazety.

Maigret usiadł w trzcinowym fotelu obok fontanny, która z jakiegoś powodu była dzisiaj nieczynna. Czerwone rybki w szklanej wazie trwały nieruchomo, tylko ich pyszczki miarowo otwierały się i zamykały.

Przypominały Maigretowi otwarte usta Torrence'a. Widocznie tym poruszony, długo nie mógł znaleźć sobie miejsca w fotelu.

Jadalnię obsługiwało jedynie parę kelnerów.

Maigret nie spuszczał z nich oka, wiedząc, że strzał może paść w każdej chwili.

Rozgrywka osiągnęła stadium, gdy nie zwleka się z decyzją.

To, że Maigret odkrył tożsamość Oppenheima, czyli Piotra Łotysza, nie miało większego znaczenia i komisarz ryzykował niewiele.

Łotysz prawie się nie krył, rzucił wyzwanie policji, mając świadomość, że nie istnieje przeciwko niemu nic konkretnego.

Dowodem był łańcuszek telegramów, który podążał za nim od Krakowa do Bremy, z Bremy do Amsterdamu, z Amsterdamu do Brukseli i Paryża.

Lecz oto w „Gwieździe Północy” znaleziono trupa! I przede wszystkim odkrycie Maigreta: niezwykle stosunki, łączące Łotysza z Mortimer–Levingstonami.

A to odkrycie było fundamentalne!

Piotr był gangsterem, który temu nie zaprzeczał jakby mówił policjantom w różnych krajach:

— Spróbujcie mnie złapać na gorącym uczynku!

Mortimer zaś, w powszechnym mniemaniu, był porządnym człowiekiem.

Jedynie dwaj ludzie mogli potwierdzić związek Piotr–Mortimer.

I tego samego wieczoru Torrence zginął. A Maigret cudem uniknął śmierci na ulicy Fontaine.

Trzeci bowiem, który chyba widział niewiele, ale swoim przerażeniem mógł spowodować dodatkowe śledztwo, został usunięty: Jose Latourie, fordanser.

Mortimer i Łotysz, wierząc zapewne w skuteczność potrójnej egzekucji, wrócili na swoje miejsca.

Przebywali teraz na górze, w swoich luksusowych apartamentach, wydawali telefoniczne rozkazy służbie, kąpali się, jedli śniadania, ubierali.

A Maigret, sam jeden, w niewygodnym trzcinowym fotelu, z obandażowaną klatką piersiową, z prawą ręką niemal unieruchomioną bólem, czekał na nich.

Miał prawo ich aresztować, lecz wiedział, że to bezsensowne. Najwyżej znajdą się świadkowie przeciwko Piotrowi Łotyszowi, czyli Fiodorowi Jurowiczowi, czyli Oswaldowi Oppenmeimowi i może Olafowi Swannowi.

Natomiast przeciwko Mortimer–Levingstonowi, amerykańskiemu miliarderowi? Godzinę po zatrzymaniu ambasada Stanów Zjednoczonych wystosuje protest. Banki francuskie, kartele przemysłowe i finansowe jakimi zarządzał, włączą do skandalu polityków.

A on, jakie ma dowody? Jakie poszlaki? Że tamten zniknął na parę godzin w ślad za Łotyszem?

Że jadł kolację w „Pickwicku”, a jego żona tańczyła z Jose Latourie?

Że jakiś inspektor policji widział go wchodzącego do nędznego hoteliku o nazwie „Roi de Sicile”?

To wszystko nie warte było funta kłaków. I trzeba będzie przeproszać, a kto wie, może jako zadośćuczynienie dla Stanów Zjednoczonych pójść na ustępstwa, zwolnić Maigreta, choćby czasowo?

Torrence nie żył.

Zapewne błędym świtem przebył ten hol na noszach.

Albo, żeby oszczędzić przykrego widoku porannym gościom, zarządca ubłagał, żeby transport odbył się przez część służbową.

Tak prawdopodobnie było. Te wąskie korytarze, kręte schody, gdzie nosze musiały się objąć o poręcze...

Dźwięk telefonu za mahoniowym kontuarem. Bieganina. Szybkie instrukcje.

Podszedł zarządca.

— Pani Mortimer–Levingston wyjeżdża. Właśnie dzwonił z góry, żeby zniesiono jej kufer. Samochód czeka.

Maigret uśmiechnął się blado.

— Jaki pociąg?

— Leci do Berlina z lotniska Le Bourget...

Nie zdążył skończyć, kiedy ukazała się w podróżnym okryciu, w krokodylową torebką w ręce. Spieszyła się. Dochodząc do obrotowych drzwi, spojrzała jednak za siebie.

Aby mogła dokładnie go zobaczyć, Maigret podniósł się z wysiłkiem. Był pewny, że zagryzła usta. Przyśpieszyła kroku. Niecierpliwie wydawała rozkazy szoferowi.

Zarządcę dokądś wezwano. Komisarz został sam, przed fontanną, która nagle zaczęła działać. Może puszczano wodę o stałej godzinie?

Była dziesiąta.

Znów lekko się uśmiechnął, usiadł ciężko, lecz ostrożnie, bo przy najmniejszym geście jego rana sprawiała mu coraz większy ból.

— Słabi nie mają racji...

Otóż to! Jose Latouriego, jako zbyt lęklivego, uderzono trzykrotnie nożem w pierś. Pani Mortimer też im zawadzała. Odsyłano ją więc do Berlina. I tak potraktowano tę damę łaskawie.

*

Pozostali tylko silni: Piotr Łotysz, który długo się ubierał, Mortimer–Levingston, który nie utracił nic ze swego arystokratycznego wyglądu i Pepito Moretto, „płatny morderca” gangu.

Złączeni niewidzialnymi nićmi, gotowali się do akcji.

Ich przeciwnik był tutaj, blisko, na środku holu, który zaczynał się ożywiać. Nieruchomy w trzcinowym fotelu, z wyciągniętymi przed siebie nogami, spryskiwany przez cicho szemrzącą fontannę.

Winda się zatrzymała.

Pierwszy zjawił się Piotr Łotysz, w świetnym, beżowym garniturze, z drogim cygarem w ustach.

Był tu u siebie. Za to płacił. Rozluźniony, beztroski, przystawał tu i ówdzie, obejrzał reklamowe gabloty producentów, umieszczane zwykle w luksusowych hotelach, kazał podać sobie ogień, sprawdził tabelę kursów obcych walut, zatrzymał się przed fontanną, niecałe trzy metry od Maigreta. Obserwował czerwone rybki, strzepnął popiół z cygara do wazy i udał się do czytelnii.

ROZDZIAŁ 11

RUCHLIWY DZIEŃ

Piotr Łotysz przejrzał kilka gazet, zatrzymał się dłużej nad „Revaler Bote” — pismem estońskim, którego jedyny, stary egzemplarz zapomniał widać w Majestiku jakiś podróżny.

Nieco przed jedenastą zapalił nowe cygaro, minął hol, kazał gońcowi przynieść kapelusz.

Dzięki słońcu, które oświetlało jedną stronę Pól Elizejskich, było dosyć ciepło.

Łotysz wyszedł bez okrycia, jedynie w kapeluszu, dotarł do Placu Gwiazdy jak człowiek, który chce odetchnąć świeżym powietrzem.

Maigret szedł za nim w niewielkiej odległości, nie próbując się kryć. Opatrunek, utrudniający ruchy, nie pozwalał mu doceniać tego spaceru.

Na rogu ulicy Berry usłyszał cichy gwizd. Nie zwrócił na to uwagi. Gwizd się powtórzył. Odwrócił się więc i zobaczył inspektora Dufoura, który wyczyniał całą pantomimę, aby dać szefowi do zrozumienia, że chce mu coś przekazać.

Inspektor stał na ulicy Berry, udając, że ogląda z niezwykłą ciekawością witrynę apteki, tak, że zdawał się machać rękami do głowy kobiety z wosku, której na jednym policzku starannie wymalowano egzemę.

— No, czekam! Szybko!

Dufour był jednocześnie zmartwiony i pełen żalu. Od godziny kręcił się przy Majestiku, stosując metody najbardziej wyszukane, i oto Maigret kazał mu się nagle zdekonspirować!

— Co się stało?

— Chodzi o Żydówkę...

— Wyszła z hotelu?

— Jest tutaj... A ponieważ pan mnie zawołał, teraz widzi nas obu.

Komisarz się rozejrzył:

— Gdzie jest?

— W „Selekcie”. O, właśnie poruszyła się firanka...

— Pilnuj jej dalej.

— Już nie mam się chować?

— Zamów aperitif przy stoliku obok niej, jeśli masz ochotę...

Albowiem na tym etapie walki zabawa w chowanego była niepotrzebna. Maigret ruszył dalej, odnalazł sto metrów przed sobą Łotysza, który nie wykorzystał tej rozmowy, aby mu umknąć z pola obserwacji.

Zresztą w jakim celu? Gra toczyła się już na innej płaszczyźnie. Przeciwnicy widzieli się nawzajem. Niemal wszystkie karty zostały odkryte.

Piotr przeszedł się dwa razy od Placu Gwiazdy do Ronda i Maigret zdołał już poznać każdy szczegół jego sylwetki, a nawet charakter.

Był szczupły, nerwowy, bardziej w istocie rasowy niż Mortimer, lecz, na sposób ludzi z Północy.

Maigret znał paru ludzi w tym rodzaju, głównie z inteligencji. Ci, z którymi się zetknął w Dzielnicy Łacińskiej podczas swych nieukończonych studiów na medycynie, zadziwiali jego, Francuza z krwi i kości.

Pamiętał między innymi brodatego Polaka, chudego blondyna, już łysiejącego mimo swych dwudziestu dwu lat, którego matka była w ojczyźnie służącą, a on siedem lat uczył się na Sorbonę, żywiąc się w ciągu dnia chlebem i jajkiem na twardo.

Nie stać go było na skrypty i przesiadywał, ucząc się w bibliotekach publicznych.

Nie wiedział nic o Paryżu, kobietach, o naturze Francuzów, lecz gdy ukończył studia od razu zaproponowano mu ważną katedrę w Warszawie. Po pięciu latach Maigret znów miał okazję go spotkać w Paryżu. Był równie chudy i skupiony. Jako członek międzynarodowej konferencji naukowej jadł obiad w Pałacu Elizejskim.

Komisarz znał także innych. Nie wszyscy byli podobnie wartościowi. Lecz zdumiewali ilością i rozmiarem spraw, które chcieli poznać i poznawali.

Uczyć się dla samej nauki! Jak ów profesor z belgijskiego uniwersytetu, znający wszystkie narzecza Dalekiego Wschodu (chyba czterdzieści), który nigdy nie postawił nogi w Azji i nie interesował się zupełnie tamtejszą ludnością, której języki opanował dla własnej satysfakcji.

Taka siła woli kryła się w szaroniebieskich oczach Łotysza. Lecz gdyby chciano włączyć go do owej grupy intelektualistów, uderzały w nim inne cechy, które poddawały całą resztę w wątpliwość.

Jakby pod realnym gościem z Majestiku czał się cień Rosjanina, Fiodora Jurowicza, włóczęgi w trenczu.

To, że obaj byli tym samym człowiekiem, stanowiło hipotezę, choć obecnie popartą logiką faktów.

Zaraz po przyjeździe, Piotr wieczorem znika. Nazajutrz rano Maigret spotyka go w Fécamp, jako Fiodora Jurowicza.

Wraca na ulicę Roi de Sicile. Parę godzin później Mortimer wchodzi do hotelu. Następnie opuszcza go parę osób, w tym brodaty staruszek.

Rano Piotr Łotysz jest znów w Majestiku.

Najbardziej zdumiewało jednak to, że poza uderzającym podobieństwem fizycznym, oba wcielenia nie miały ze sobą nic wspólnego.

Fiodor Jurowicz był wprawdzie słowiańskim włóczęgą, człowiekiem z marginesu, bez jednej fałszywej nuty. Był sobą, kiedy zajmował miejsce przy barze knajpy Fécamp.

Nie było także żadnej skazy na osobowości Łotysza, wytwornego od stóp do głów. Określał to sposób w jaki prosił o ogień, czy nosił wykwintny, angielski kapelusz, albo kiedy przechadzał się swobodnie, oglądając wystawy na Polach Elizejskich.

Nie były to pozory, tylko autentyczność. Maigret także grał w życiu rozmaite role. Policjant zmienia twarz, przebiera się rzadziej, niż się na ogół sądzi, ale czasem jest to konieczne.

Maigret nawet odmieniony był Maigretem, psychicznie, w spojrzeniu, czy w jakimś geście.

Maigret jako handlarz bydłem (to mu się zdarzyło, nawet z sukcesem) „grał” handlarza bydłem. Ale nim nie był. Był ową postacią tylko zewnątrz.

Piotr — Fiodor, jako Piotr, lub Fiodor — zmieniał się „od środka”.

Komisarz mógł podsumować swoje wrażenia następująco: tamten był równocześnie jednym lub drugim nie tylko ze względu na ubranie, ale w swej istocie.

Wiódł na przemian dwie, tak odmienne egzystencje prawdopodobnie od lat, może od zawsze.

To były jedynie luźne refleksje, kiedy Maigret szedł wolno przed siebie, w miłym poczuciu sprawności umysłowej.

Lecz niespodziewanie jego pogląd na osobę Łotysza się rozpadł.

*

Okoliczności wydarzenia były zmienne. Tamten dotarł w pobliże Fouqueta, przeciął aleję z widocznym zamiarem napicia się aperitif w barze luksusowej restauracji.

Ale zrezygnował, szedł dalej i nagle przyśpieszył w kierunku ulicy Waszyngtona.

Było tam bistro, jakie istnieją w najbogatszych dzielnicach, przeznaczone dla taksówkarzy i okolicznej służby.

Piotr wszedł do środka. Komisarz za nim, akurat w momencie, gdy zamawiał podrabiany absynt.

Stał przy barze w kształcie podkowy. Kelner w niebieskim fartuchu przecierał go od czasu do czasu brudną ścierką. Na lewo popijała grupa ochlapanych wapnem murarzy. Na prawo kontroler gazowni.

Łotysz zwracał powszechną uwagę swym wyglądem, każdym drobiazgiem nienaganej aparycji.

Jaśniały małe wąsiki niczym szczoteczka do zębów i płowe, rzadkie brwi. Spoglądał na Maigreta nie bezpośrednio, lecz przez odbicie w lustrze na barem.

Komisarz ujrzał drzenie warg i lekki skurcz nozdrzy. Piotr usiłował nie tracić samokontroli, zaczął pić łyżkami, lecz rychło wlał w siebie całą pozostałość kieliszka, nakazując:

— Nalać jeszcze!

Maigret zamówił wermut. W ciasnym barze zdawał się jeszcze wyższy i masywniejszy. Nie spuszczał Łotysza z oka.

Był świadkiem dwojako rozgrywanej sceny. Jak przed chwilą, jego skojarzenia nakładały się na siebie.

Kafejka z Fécamp miała obecnie paryską dekorację. Piotr jakby się rozdawał. Maigret widział go w eleganckim ubraniu i w zniszczonej gabardynie.

— Nie dam się, bracie, wyrolować! — oświadczył któryś z murarzy, uderzając pięścią o blat.

Piotr był już przy trzecim aperitifie. Komisarza owiał anyżowy zapaszek.

Funkcjonariusz gazowni trochę się przesunął i obaj znaleźli się blisko, stojąc niemal ramię w ramię.

Maigret był o głowę wyższy od swego towarzysza. Siedzieli naprzeciw lustra i w jego mętnej głębi patrzyli na siebie.

Przemiana w twarzy Łotysza zaczęła się od wyrazu oczu. Pstrykał palcami, wskazując na opróżniony kieliszek, przecierał dłonią czoło.

W jego rysach ukazało się narastające, wewnętrzne zmaganie.

W lustrze Maigret dostrzegł na przemian twarz gościa z Majestiku i znękanie kochanka Anny Gorskiny.

Lecz to ostatnie nie ujawniło się całkowicie. Było przewyciężane uporczywą pracą mięśni. Tylko oczy były dalej oczami Rosjanina.

Lewą rękę oparł na blacie kontuaru. Chwiał się starając utrzymać równowagę.

*

Maigret spróbował eksperymentu. W kieszeni miał zdjęcie pani Swann, które wyjął z albumu fotografa w Fécamp.

— Ile się należy? — spytał kelnera.

— Czterdzieści cztery centymy.

Udał, że szuka w portfelu i zrzucił zdjęcie, które spadło na zachlapanie miejsce przy krawędzi lady.

Nie przejmując się wyjął banknot pięciofrankowy, lecz nie odwracał wzroku od lustra.

Kelner zakłopotany podniósł fotografię i starał się ją osuszyć fartuchem.

Piotr Łotysz złapał kieliszek, miał twarde oczy, ściągniętą twarz. Powoli zaciskał pięść.

Nagle rozległ się chrzęst, tak ostry, że właściciel przy kasie zrobił półobrót.

Dłoń Łotysza się rozwarła, na kontuar sypnęło się zgniecione szkło.
Małe rozcięcie na wskazującym palcu zaczęło krwawić.
Rzucił na ladę sto franków i wyszedł, nie oglądając się na Maigreta.

*

Teraz szedł prosto do Majestiku. Ani śladu zamroczenia. Jego sylwetka była taka jak przedtem, krok równy i pewny.

Maigret wciąż deptał mu po piętach. Gdy znalazł się przed hotelem, ujrzał znajomy samochód. Auto Policji Śledczej odjeżdżało z wyposażeniem do robienia zdjęć i zdejmowania odcisków palców.

Ten widok zatrzymał do w rozpędzie. Na chwilę jakby stracił przekonanie, czuł się samotny i nie miał punktu oparcia.

Minął „Select”. Inspektor za witryną dawał mu po swojemu tajemnicze znaki, głoszące całemu światu, gdzie przebywa Żydówka.

— Co z Mortimerem? — spytał komisarz w biurze hotelu.

— Pojechał do ambasady Stanów Zjednoczonych. Ma tam zostać na obiedzie.

Piotr Łotysz usiadł przy stole w pustej jadalni.

— Pan także zje obiad? — zwrócił się do Maigreta zarządca.

— Tak, proszę mi podać przy jego stole. Tamten aż się zakrztusił.

— Przy jego?... To niemożliwe. Sala jest zupełnie wolna i...

Nie chciał się poddać, biegł za Maigretem.

— On z całą pewnością wywoła awanturę... Mogę panu dać miejsce, skąd będzie pan go widział równie dobrze...

— Powiedziałem, przy jego stole.

Wtedy, krążąc po holu, uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony, nieokreślonym zmęczeniem, które go obezwładniało psychicznie i fizycznie.

Opadł na ten sam trzcinowy fotel co rano. Jakaś para, złożona z bardzo dojrzałej kobiety i zbyt wymuskanego młodzieńca, podniosła się natychmiast i dama rzekła ostentacyjnie, poruszając nerwowo binoklem:

— Te wielkie hotele stają się nie do zniesienia. Proszę tylko spojrzeć na to...

„To” był Maigret, który się nawet nie uśmiechnął.

ROZDZIAŁ 12

ŻYDÓWKA Z REWOLWEREM

— Halo!... Zaraz... To pan, nieprawdaż?

— Tak, Maigret — westchnął komisarz, poznając głos inspektora Dufoura.

— Ciszej... W dwóch słowach, szefie... Udała się do toalety... Torebka na stole...Blisko...

Jest rewolwer.

— Cały czas była w lokalu?

— Tak...

Dufour w kabinie telefonicznej miał zapewne oblicze spiskowca, a ruchy wymyślne i tajemnicze.

Maigret bez słowa odłożył słuchawkę. Nie był w nastroju do ciągnięcia rozmowy. Sztuczki Dufoura, które go zwykle śmieszyły, teraz były irytujące.

Zarządca skapitulował i polecił nakryć stół przed Łotyszem, który, już w trakcie jedzenia, zapytał kierownika sali:

— Dla kogo to miejsce?

— Nie wiem, proszę pana... Kazano mi...

Nie protestował. Liczna rodzina Anglików wpadła do jadalni i atmosfera stała się trochę lżejsza.

Maigret zostawił swój gruby płaszcz i kapelusz w szatni, przeszedł salę, chwilę stał, a zanim usiadł, skinął nawet lekko głową na powitanie.

Piotr jakby go nie dostrzegł. Tamte aperitify całkowicie wyparowały. Był chłodny, poprawny, ruchy miał odmierzone.

Ani przez moment nie okazał zdenerwowania. Z nieobecnyim wzrokiem podobny był trochę do inżyniera, gdy rozwiązuje techniczne zadanie.

Pił skąpo, ale wybrał najlepszy burgund z ostatnich dwudziestu lat.

Obiad zamówił lekki: omlet z jarzynami, platek wołowiny i deser.

Między jednym a drugim daniem, z rękami na stole, czekał cierpliwie, nie interesując się otoczeniem. Jadalnia powoli się zapełniała.

— Wąs się panu odkleił — rzekł niespodziewanie Maigret.

Nie drgnął. Tylko niedbale przytknął dwa palce do warg. Zrobił to jednak, choć gest był ledwie dostrzegalny. Komisarz, sławny w Prefekturze z wrodzonego opanowania, z trudem zachowywał spokój.

Reszta popołudnia wystawiła go na ciężką próbę. Nie oczekiwał bynajmniej, że Łotysz, tak strzeżony, zdecyduje się na coś kompromitującego. Z rana dojrzały w nim jednak zaczątek rozpadu.

Dlatego komisarz liczył, że być może wypadnie z roli, mając nieustannie przed sobą ogromną postać, niczym ekran między sobą a światem.

Łotysz wypił kawę w holu, kazał sobie przynieść lekkie okrycie, zszedł w dół Pól Elizejskich i trochę po godzinie drugiej wstąpił do kina.

Wyszedł dopiero o szóstej. Z nikim nie rozmawiał, nie pisał, nie zrobił nic dwuznacznego.

Rozparty wygodnie w fotelu, śledził z zainteresowaniem akcję naiwnego filmu.

Gdyby się odwrócił, idąc do Placu Opery, pewnie by zauważył, że Maigretowi brakuje teraz energii. Może by wyczuł, że komisarz zaczyna wątpić w siebie?

Albowiem przez wiele godzin, spędzonych w ciemności, gdy na ekranie zmieniały się obrazy, których nie próbował rozróżnić, nie opuszczała Maigreta myśl o natychmiastowym aresztowaniu.

Dobrze jednak wiedział, co by się stało. Bez żadnego konkretnego dowodu! Natychmiast cała masa interwencji spadnie na sędziego śledczego, Prokuraturę, nawet ministra Spraw Zagranicznych i Sprawiedliwości.

Szedł trochę zgarbiony. Dokuczala mu rana, a prawe ramię stało się jak cudze.

Lekarz uprzedził go bez ogródek:

— Jeżeli bolesność się rozprzestrzeni, proszę się natychmiast zgłosić. To będzie znaczyć, że w ranie powstaje infekcja.

No i co z tego? Czy mógł się nad tym zastanawiać?

— Proszę spojrzeć na to! — rzekła rano dama w Majestiku.

Mój Boże! „To” było policjantem, który nie chciał dopuścić aby groźni przestępcy kontynuowali jawne bezprawie i usiłował pomścić kolegę, zabitego w tym hotelu!

„To” było człowiekiem, który nie ubierał się u angielskich krawców, nie robił co rano manicure, którego żona od trzech dni czekała z obiadem, zrezygnowana, bez żadnej wiadomości.

„To” było utalentowanym komisarzem z pensją dwóch tysięcy dwustu franków miesięcznie, który po ukończeniu śledztwa i przymknięciu sprawy, gromadził papierki, robił listę kosztów, załączał do niej rachunki, podkładowki i musiał wyklócać się z kasjerem.

Maigret nie miał samochodu, milionów, współpracowników. A jeśli potrzebował jednego lub dwóch inspektorów, kazano mu się tłumaczyć, w jakim celu. ;

Piotr Łotysz, trzy kroki od niego, płacił za aperitif pięćdziesiąt franków nie żądając reszty. To była maniera, albo bluff! Potem wstąpił do sklepu z męską odzieżą, bawił tam pół godziny, wybierając tuzin krawatów i trzy szlafroki. Rzucił na ladę swą wizytówkę i wyszedł, odprowadzany przez nieskazitelnego sprzedawcę.

Rana rzeczywiście się zaogniła. Niekiedy miał wrażenie jakby mu żywcem krajano całą klatkę piersiową. Czuł się chory, miał mdłości gdy ból sięgał żołądka.

Ulica de la Paix, plac Vendôme, Faubourg Saint Honore... Piotr Łotysz zażywał przechadzki...

W końcu Majestik, gdzie boy usłużnie otworzył mu obrotowe drzwi.

— Szefie...

— To znowu ty?

Inspektor Dufour niepewnie, z lękiem w oczach, wyszedł z cienia.

— Przepraszam... Zniknęła...

— Co ty wygadujesz?!

— Robiłem co mogłem, przysięgam! Wyszła z „Selectu”. Potem wstąpiła pod pięćdziesiąty drugi, do salonu mody. Czekałem godzinę i spytałem woźnego. Nie było jej na piętrze. Zwyczajnie minęła sklep, który ma także wyjście na ulicę Berry...

— Dobra.

— Co mam robić?

— Odpocząć.

Dufour spojrział Maigretowi w oczy i pochylił głowę.

— Przysięgam, że...

Oślupiał, gdy komisarz klepnął go po ramieniu.

— Jesteś dzielnym chłopcem, Dufour! Nie przyjmuj się, stary!

I wszedł do Majestiku, ujrzał grymas zarządcy, uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Gdzie Łotysz?

— Udał się do swego apartamentu.

Maigret zdecydował się na winę.

— Drugie...

Nabił fajkę i nagle stwierdził, z gorzkim uśmiechem, innym niż tamten, że przez wiele godzin o niej nie pamiętał.

*

Przed drzwiami z numerem 17 nie wahał się, zapukał. Ktoś zawołał, żeby wejść. Zrobił to i zamknął drzwi.

W salonie mimo kaloryferów, paliło się w kominku, w charakterze dekoracji. Łotysz oparty o jego gzyms, posuwał nogą papier, aby łatwiej spłonął.

Maigret natychmiast zrozumiał, że nie jest teraz równie beztroski jak przedtem. Nie okazał jednak swego zadowolenia.

Potężną dłonią odrzucił niewielką teczkę ze złoconego krzeselka, postawił je o metr od kominka i usiadł okrakiem.

Czy dlatego, że znów miał w ustach fajkę? Lub może odreagował teraz godziny wyczerpania i niepewności?

W każdym razie czuł się teraz silny jak nigdy. Stał się niejako Maigretem w dwójnasób. Blokiem, ciosanym w dębowym drewnie, albo w kamieniu.

Oparł łokcie na poręczy krzesła. Zdawało się, że jeśli będzie trzeba, to chwyci w swą wielką dłoń szyję Łotysza i zacznie bić jego głową o ścianę.

— Mortimer wrócił? — rzekł ostro.

Piotr, spoglądający na papier w ogniu, wolno uniósł głowę.

— Nie wiem.

Silniej zacisnął dłonie, co nie uszło uwadze Maigreta. Zauważył także obok drzwi do sypialni walizkę, której poprzednio nie było.

Zwykła, czarna torba podróżna, warta najwyżej sto franków, nie pasująca do takiego otoczenia.

— Co w niej jest?

Żadnej odpowiedzi. Tylko nerwowe spięcie mięśni twarzy. W końcu pytanie:

— Aresztuje mnie pan?

— Jeszcze nie...

Maigret wstał. Kopnięciem pchnął walizkę bliżej kominka, otworzył.

Było w niej tuzinkowe, nowe ubranie, jeszcze ze sklepową etykietką.

Komisarz podniósł słuchawkę.

— Halo?... Mortimer wrócił?... I nikt nie przychodził do siedemnastki?... Halo... Tak... Przesyłka ze sklepu na Wielkich Bulwarach?... Niech zostanie na dole.

Rozłączył się, zapytał twardo:

— Gdzie Anna Gorskina?

— Niech pan szuka...

— To znaczy, że nie ma jej tutaj... Ale była... Przyniosła walizkę i list.

Łotysz nerwowo rozcierał zetlałą kartkę, aż zmieniła się w pył.

Komisarz zdawał sobie sprawę, że w takiej chwili nie wolno rzucać słów na wiatr, że góruje nad tamtym, ale najmniejszy błąd może zniweczyć jego przewagę.

Jak to miał w zwyczaju, podniósł się, zbliżył do ognia tak niespodziewanie, że Łotysz uczynił gest w obronie, lecz nie do końca i twarz pokrył mu rumieniec.

Maigret bowiem stanął jedynie tyłem do ognia. Palił fajkę, wydmuchując małe, szybkie kłębuszki...

Zapanowało milczenie ciężkie, pełne znaczeń, do granicy wytrzymałości nerwowej.

Łotysz jak na rozżarzonych węglach, starał się jednak zachować twarz. W odpowiedzi na fajkę Maigreta wyjął cygaro.

*

Komisarz chodził tam i z powrotem, o mało nie rozwalił stoliczka, kiedy się na nim oparł.

Jego rozmówca nie widział, że naciska guzik nie podnosząc słuchawki. Efekt był natychmiastowy. Z biura pytano:

— Halo?... Pan dzwonił?

— Halo!... Tak... Kto mówi?

— Tu recepcja...

A Maigret z całkowitym spokojem:

— Halo!... Tak... Mortimer? Dziękuję, wkrótce się z nim zobaczę...

— Halo!... Halo!...

Ledwie położył słuchawkę, aparat odezwał się znowu. Głos zarządcy nalegał:

— Co się stało?... Nie rozumiem...

— Nie trzeba! — ryknął Maigret.

Patrzył uważnie na Łotysza. Ten zbladł jeszcze bardziej, przez sekundę jakby chciał rzucić się do drzwi.

— To nic takiego — powiedział komisarz. — Wrócił Mortimer. Kazałem, żeby mnie zawiadomili.

Na czoło Piotra wystąpiły krople potu.

— Mówiliśmy o walizce i liście, które tu przyniesiono... Anna Gorskina...

— Nie było mowy o Annie...

— Przepraszam, sądziłem... Więc list nie był od niej?

— Chciałbym...

Łotysz cały się trząsał i to go zdradzało. Jego nerwowość była zdumiewająca. Twarz i całą postać owładnęły silne tiki.

— Niech pan słucha...

— Słucham — oświadczył Maigret, stojąc plecami do ognia.

Rękę wsunął do kieszeni z rewolwerem. Starczyłaby sekunda, by go użyć. Ciągle się uśmiechał, lecz poprzez ten uśmiech czuł napięcie sięgające szczytu.

— Więc?... Przecież mówiłem, że słucham...

Lecz Łotysz chwycił butelkę whisky i wycedził przez zęby:

— A niech tam!

Napełnił szklanę, opróżnił ją w całości i spojrział na komisarza mętym wzrokiem Fiodora Jurowicza. Po brodzie pociekła mu kropla whisky.

ROZDZIAŁ 13 DWÓCH PIOTRÓW

Maigret nigdy nie widział tak piorunującego działania alkoholu. Co prawda nigdy nie spotkał człowieka pijącego whisky całą szklanką, który napełnił ją znowu i po raz trzeci, do ostatka z butelki sześćdziesięcioprocentowego alkoholu.

Rezultat był zastraszający. Piotr Łotysz stał się purpurowy, następnie blady jak ściana, lecz na policzkach zostały mu nieregularne wypieki. Usta miał bezkrwiste. Trzymał się stolika, potem zrobił chwiejnie parę kroków i rzekł z pijacką obojętnością:

— Pan się tego spodziewał, prawda?

Zaśmiał się ochryple i było w tym wszystko: lęk, ironia, żal, może rozpacz. Przewrócił krzesło, bo chciał się oprzeć, wytarł mokre czoło:

— Ale sam by pan do tego nie doszedł... Czysty przypadek.

Maigret nie ruszał się. Czuł się jednak tak podle, że chciał szybko zakończyć tę scenę, dać tamtemu jeszcze coś do picia, albo lek na łatwiejsze oddychanie.

Był świadkiem tej samej przemiany co rano, lecz wielokrotnie głębszej.

Nie tak dawno miał do czynienia z kimś opanowanym bardzo inteligentnym, o niezwyklej sile woli.

Człowiekiem z ogładą, wykształconym, przesadnie poprawnym w sposobie bycia.

I nagle tylko kłębek nerwów, marionetka na poplątanych sznurkach, twarz wykrzywiona, śmiertelnie blada, zaznaczona jednak falującym napływem krwi.

Śmiał się! Lecz śmiejąc się, zataczając, równocześnie nasłuchiwał, pochylony, jakby chciał wyłowić z dołu szmer.

A pod spodem znajdował się apartament Mortimerów!

— To była dobra robota! — wołał ochryple. — I pan nie mógł jej zepsuć! Czysty przypadek, jak powiedziałem. A nawet cała seria przypadków!

Dowlókl się do ściany, oparł na niej ukośnie, skrzywił się, bo to rozmyślne pijaństwo, bliskie zatrucia, musiało wywołać ból głowy.

— No niech pan zgadnie, póki jeszcze czas, który ze mnie Piotr? W pana języku Piotr to bliskie pieprzonego, co?

To było obrzydliwe i smutne, komiczne i bezczelne. Jego opilstwo rosło z każdą chwilą.

— Zabawne, ale nie przychodzą! Ale przyjdą!... I wtedy... A na razie... Którym z Piotrów jestem?

Niespodziewanie się zmienił, chwycił za głowę i na jego twarzy odmalowało się fizyczne cierpienie.

— Pan tego nie zrozumie... Historia dwóch Piotrów, jak dzieje Kaina i Abla... Pan chyba jest katolikiem... W moim kraju są protestanci, wierzymy w Biblię... Ale co z tego? Jestem przekonany, że Kain był poczciwym, dobrym chłopcem, który ufał ludziom. Tymczasem Abel...

Na korytarzu rozległy się kroki. Drzwi się otworzyły.

Maigret był tak napięty, że mocniej zacisnął w ustach fajkę.

Albowiem do pokoju wkroczył Mortimer w pelisie, z rumianą twarzą człowieka po doskonałym obiedzie.

Uniósł się lekki zapach likieru i cygara.

Ledwie wszedł do salonu, jego dobry nastrój uleciał. Kolorki ożywienia zniknęły. Maigret dostrzegł w jego rysach asymetrię, trudną do opisania, lecz nadającą jego twarzy symptomy zagubienia.

Przyszedł wprost z ulicy. Jego odzież tchnęła jeszcze świeżym powietrzem.

Spektakl był dwojaki. Komisarz nie mógł oglądać wszystkiego naraz.

Patrzył przede wszystkim na Łotysza, który po tamtych breweriach starał się wytrzeźwieć. Na próżno. Dawka alkoholu była za mocna. Czuł to i usilnie walczył ze sobą.

Twarz mu się zmieniła. Dostrzegał pewnie ludzi i rzeczy jak przez mgłę. Kiedy puścił stół zachwiał się, mało nie upadł, lecz cudem odzyskał równowagę.

— Mój drogi Morti... — zaczął.

Napotkał wzrok Maigreta i wyjąkał innym tonem:

— A niech się dzieje co chce... Niech...

Trzasnęły drzwi. Szybkie, coraz dalsze kroki. To Mortimer salwował się ucieczką. Łotysz padł na fotel.

Maigret skoczył do drzwi. Zanim jednak wyszedł, nadśluchiwał.

Lecz wśród odgłosów hotelu, nie mógł rozróżnić kroków Amerykanina.

— Powiedziałem, sam pan tego chciał... — ledwie mamrotał Piotr i zakończył swój dyskurs w nieznanym języku.

Komisarz zamknął drzwi na klucz, minął korytarz i zbiegł po schodach.

Dotarł do pierwszego piętra, akurat w momencie, by złapać uciekającą kobietę. Uniósł się zapach pudru.

Jego lewa ręka trzymała kobietę za ubranie. Prawą uderzył ją w przegub i rewolwer upadł na ziemię. Jednocześnie wystrzelił i kula rozbiła szybę windy. Kobieta stawiała opór. Była nadzwyczaj silna i dlatego komisarz, aby ją obezwładnić, wykręcił jej rękę, aż upadła na podłogę, sycząc:

— Tchórz!

Hotel ogarniał niepokój. Ze wszystkich pokoi i pomieszczeń dochodziło narastające zamieszanie.

Pierwsza zjawiała się biało–czarna pokojówka, uniosła ramiona ku niebu i zaczęła uciekać.

— Nie ruszać się! — rozkazał Maigret nie pokojówce, lecz zatrzymanej kobiecie.

Obie znieruchomiały. Pokojówka krzyczała:

— Litości!... Nic nie zrobiłam!...

Ogólny chaos potęgował się jeszcze. Z różnych stron biegli ludzie. Zarządca coś mówił stojąc pośrodku jednej z grup. Widać było kobiety w sukniach wieczorowych. Korytarz napełniły zmieszane okrzyki.

Maigret w tej sytuacji pochylił się i nałożył kajdanki swej ofierze, czyli Annie Gorskinie. Broniła się. Walcząc zaciekle rozdarła suknię, ukazała biust jak wtedy u siebie, imponujący zresztą. Jej oczy płonęły, usta zcinała nienawiść.

— Pokój Mortimera! — rzucił komisarz zarządcy.

Ale ten całkiem stracił głowę. I Maigret został sarn, wśród tłumu, który się rozpychał ogarnięty paniką, a na dodatek przerażone kobiety zanosily się płaczem w ataku hysterii.

Apartament Mortimera był o parę kroków. Policjant nie musiał forsować drzwi, były szeroko otwarte. Ujrzał na podłodze zakrwawione ciało, dające oznaki życia.

Biegiem dotarł do piętra wyżej, uderzył w drzwi, które sam zamknął na klucz, nic nie usłyszał, wyważył zamek. Apartament Piotra był pusty!

Walizka ciągle leżała na ziemi, z wyrzuconym obok ubranie.

Przez otwarte okno napływało mroźne powietrze. Okno wychodziło na podwórze głębokie jak studnia. A w dole majaczyły trzy ciemne prostokąty drzwi.

*

Maigret zszedł ociężale, tłum już się trochę uspokoił. Wśród gości hotelowych znalazł się lekarz. Lecz ani kobiet, ani mężczyzn wcale nie interesował Mortimer i pochylony nad nim doktor.

Oczy wszystkich zwrócone były na Żydówkę, zległą w kajdankach, pełną buntu, rzucającą ku nim przekleństwa i groźby.

Kapelusz jej się obsunął, tłuste kosmyki włosów pokrywała twarz.

Z windy o rozbitej szybie wyszedł hotelowy tłumacz z policjantem.

— Usunąć wszystkich! — rozkazał Maigret.

Za plecami słyszał niewyraźne protesty. Sam jakby wypełniał sobą cały korytarz.

Wielki, nieustępliwy, zbliżył się do Mortimera.

— No więc?

Lekarz był Niemcem, słabo znał francuski. Począł wyjaśniać rozwlekle, mieszając oba języki.

Dolna część twarzy miliardera dosłownie nie istniała. Była tylko ogromną, ciemnoczerwoną jamą.

A jednak usta się rozwarły, choć to nie były już usta i wydały charkot, ociekający krwią.

Nikt go nie zrozumiał, ani Maigret, ani lekarz, który, jak się potem okazało, był profesorem uniwersytetu w Bonn — ani parę osób stojących najbliżej.

Na pelisie rozsypał się popiół z cygara.

Jedna z dłoni była otwarta, miała rozczapierzone palce.

— Nie żyje? — spytał komisarz.

Doktor zaprzeczył ruchem głowy i obaj umilkli.

W korytarzu hałas już ucichł. Policjant cofał krok po kroku najbardziej ciekawskich.

Wargi Mortimera się zamknęły, ponownie rozchyliły. Lekarz czekał jeszcze parę sekund.

Potem wstając oznajmił, jakby się uwalniając od wielkiego ciężaru:

— Nie żyje, jawohl... Bardzo ciężkie...

Ktoś stąpnął na brzeg pelisy i zostawił ślad buta.

W drzwiach ukazał się policjant ze srebrnymi naszywkami. Przez chwilę się nie odzywał.

— Co mam teraz...

— Niech wszyscy bez wyjątku opuszczą korytarz — rozkazał Maigret.

— Kobieta wrzeszczy...

— Niech wrzeszczy.

I stanął przed kominkiem, na którym ogień dawno wygasł.

ROZDZIAŁ 14

KORPORACJA UGALA

Każda rasa wydziela swoiste zapachy, nieznośne dla innych. Maigret otworzył okno. Nie wyjmował fajki z ust, lecz woń dalej się utrzymywała.

Czy to hotel „Roi de Sicile” był nią przesiąknięty? A może ulica? Czuło się ją wyraźniej, kiedy hotelarz w czarnej jarmułce uchylił okienko swego pomieszczenia. Gęstniała coraz bardziej, gdy wspinał się po schodach na górę.

W pokoju Anny Gorskiny zapierała dech. Co prawda, pełno tu było jedzenia. Nadpsuta kielbasa szpikowana czosnkiem. Smażona ryba mokła w kwaśnym sosie. Niedopałki rosyjskich papierosów. Osad herbaty na dnie z pół tuzina filiżanek.

I pościel, bielizna, które zdawały się wilgotne, zaduch sypialni nigdy nie wietrzonyj.

Z materaca, kiedy go rozpruł, wydobył szary, płócienny woreczek.

Rozsypało się kilka fotografii i dyplom.

Jedno ze zdjęć przedstawiało stromą, wybrukowaną kocimi łbami ulicę między starymi domami o ścianach szczytowych jak w Holandii, ale pobielonych, z czarnymi konturami okiem, drzwi i gzymsów.

Na pierwszym planie widniał budynek i napis utworzony z liter gotyckich i cyrylicy:

6

Rutsep

Max Jonannson

Tailor

Dom był okazały. Z poddasza wystawała belka, na której umocowano krążek, służący ongiś do magazynowania zboża na strychu. Parter zdobił taras o sześciu schodkach z żelazną poręczą.

Na tarasie upozowała się rodzina wokół może czterdziestoletniego mężczyzny. Był niski, szpakowaty i blady — na pewno krawiec — z miną godną i obojętną.

Jego żona w bardzo obcisłej, jedwabnej sukni, zajęła miejsce na rzeźbionym krześle. Uśmiechała się do fotografa, sznurując lekko usta, żeby robić wrażenie osoby dystygowanej.

Przed nimi dwójka dzieci trzymała się za ręce. Sześć, może ośmioletni chłopcy w spodenkach za kolana, czarnych pończochach, marynarskich kołnierzach i haftowanych mankietach.

W tym samym wieku! Tego samego wzrostu!

Byli uderzająco podobni do siebie i do krawca. A jednak na pierwszy rzut oka widać było między nimi różnicę.

Jeden z nich miał twarz pełną determinacji, spoglądał w aparat odważnie, nawet zaczepnie.

Drugi patrzył chyłkiem na brata z ufnością i podziwem. Nazwisko fotografa wytłoczono czytelnie:

„K. Abel, Psków”.

Drugie zdjęcie było większe i bardziej znaczące. Wykonano je podczas bankietu. Trzy długie stoły w perspektywie, na nich talerze i butelki. W głębi, przy ścianie, konstrukcja z sześciu

chorągwi, tarczy z niewidocznym oznakowaniem, dwóch skrzyżowanych szabel i myśliwskiego rogu.

Biesiadnicy byli studentami w wieku od siedemnastu do dwudziestu lat, nosili czapki o wąskich daszkach ze srebrnym okuciem. Ich aksamitne denka były zapewne w kolorze sinawozielonym, który lubią Niemcy.

Głowy mieli krótko ostrzyżone. Większość twarzy była wyraźnie zarysowana.

Niektórzy uśmiechali się wesoło do obiektywu. Inni podnieśli dziwne kufle z rzeźbionego drzewa. Paru zamknęło oczy, kiedy błysnęła magnezja.

Pośrodku stołu, dokładnie widoczna, stała tablica z napisem:

Korporacja Ugala
Tartu

Chodziło o studencką organizację, jaką zakładają młodzieńcy na wszystkich uniwersytetach świata.

Jeden student wyróżniał się spośród innych, stojąc w głębi naprzeciw kompozycji.

Był bez nakrycia głowy, z czaszką ogoloną do gołej skóry, co uwydatniało rysy jego twarzy.

Podczas kiedy większość uczestników nosiła zwykłe garnitury, on był we fraku, leżącym na nim jeszcze niezgrabnie. Białą kamizelkę przewiązał szeroką wstążką, niby Wielką Wstęgą Legii Honorowej.

Stanowiły atrybuty przewodniczącego.

Interesujące, że gdy prawie wszyscy zwróceni byli do fotografa, bardziej onieśmieleni instynktownie patrzyli na swego młodego dowódcę.

A z najwyższym oddaniem patrzył nań jego bliźniak, siedzący niedaleko, który wyciągał nawet szyję, by go nie stracić z oczu.

Student z szarfą i student, który pochłaniał go wzrokiem, byli na pewno tamtymi chłopcami ze Pskowa, synami krawca Johannsona.

Dyplom napisany po łacinie, pergaminowy, kopiował dokument archiwalny. W pompatycznej, starodawnej formule, mianował niejakiego Hansa Johannsona, studenta filozofii, Członkiem Korporacji Ugala.

U dołu widniał podpis: „Wielki Mistrz Korporacji Piotr Johannson”.

*

W tym samym płóciennym opakowaniu znajdowała się także przewiązana sznurkiem paczka, w niej fotografie oraz listy po rosyjsku.

Na zdjęciach umieszczono znak firmowy zakładu w Wilnie. Jedno z nich przedstawiało Żydówkę około pięćdziesiątki, grubą, surową, obwieszoną perłami jak święta figura wotami.

Od razu można było dostrzec rodzinne podobieństwo z Anną Gorskiną. Inna fotografia ukazywała zresztą ją samą, dziewczynę chyba szesnastoletnią, w toczku z gronostajów.

Listy miały nagłówek w trzech językach:

Efraim Górskim
Hurtownia futer
Specjalność—królewskie skóry z Syberii
Wilno — Warszawa

Maigret nie potrafił listów odczytać. Zauważył tylko, że niektóre zdania były w nich niemal takie same, przeważnie energicznie podkreślone.

Wsunął dokumenty do kieszeni, dla własnego spokoju rozejrzał się raz jeszcze.

Pokój dawno zamieszkały przez tę samą osobę, zatracił hotelową anonimowość. Kawał życia Anny Gorskiny wycierał z drobnych przedmiotów, wyblakłych tapet, nawet bielizny. I wszędzie włosy, grube, tłuste, jak włosy Azjatki.

Stery niedopałków. Pudełko na biszkopty i rozdeptane biszkopty na ziemi. Słoik imbiru. Konserwy z resztkami gęsi na słodko, firmy polskiej. Kawior.

Wódka, whisky, naczyńko, które Maigret powąchał; zawierało trochę opium w sprasowanych liściach.

Po niecałej godzinie tłumaczono mu listy w Prefekturze, zapamiętywał poszczególne fragmenty:

„...Nogi twojej matki puchną coraz częściej...”

„...Twoja matka jest ciekawa, czy twoje kostki dalej puchną, kiedy dużo chodzisz, bo wie, że cierpisz na to samo, co ona...”

„...Jesteśmy tu bezpieczni, chociaż sprawa Wilna nie jest uregulowana. Żyjemy w środku między Polakami a Litwinami... Jedni i drudzy nienawidzą Izraelitów...”

„...Zbierz informację o panu Levassor, ulica Haute-Ville 65, który zamówił u mnie skóry, ale nie dał gwarancji bankowych...”

„...Kiedy skończysz naukę, powinnaś wyjść za mąż i oboje zająć się handlem. Twoja matka jest już całkiem do niczego...”

„...Twoja matka nie opuszcza fotela... Jej charakter jest nie do wytrzymania. Powinnaś wrócić...”

„...Syn Goldsteina wrócił przed dwoma tygodniami i mówi, że nie zapisałaś się na uniwersytet w Paryżu. A ja mu powiedziałem, że to kłamstwo...”

„...Trzeba było zrobić punkcję twojej matce, która...”

„...Ktoś widział ciebie w Paryżu w nieodpowiednim towarzystwie. Napisz, jak z tym jest...”

„...Znów dostałem o tobie złe wiadomości. Jak tylko interesy mi pozwolą, to się do ciebie wybiorę...”

„...Gdyby nie twoją matką, która nie chce zostać sama, a lekarz mówi, że to koniec, zaraz bym do ciebie przyjechał. Rozkazuję ci zaraz wracać...”

„...Posyłam ci pięćset złotych na bilet...”

„...Jeśli nie wrócisz za miesiąc, to cię przeklnę...”

I znów o nogach matki. I relacja żydowskiego studenta po powrocie do Wilna, o życiu dziewczyny w Paryżu.

„... Jak natychmiast nie wrócisz, to przestanieś być moją córką...” I list ostatni.

„...Jak ty żyjesz od roku, bez moich pieniędzy? Twoja matka jest bardzo nieszczęśliwa i mówi, że ja jestem winny temu, co się stało...”

Komisarz Maigret ani razu się nie uśmiechnął. Włożył listy do szuflady, zamknął na klucz, napisał parę telegramów i udał się do aresztu.

Anna Gorskina spędziła noc w celi ogólnej. Komisarz polecił jednak zamknąć ją osobno.

Uchylił drzwi. Anna Gorskina siedziała na taborecie, nie ruszyła się, obróciła tylko głowę i spojrzała z pogardą.

Wszedł, jakiś czas obserwował ją w milczeniu. Zdawał sobie sprawę, że nie czas się zgrywać, zadawać ogólnikowe pytania, które czasem w śledztwie są skuteczne.

Miała za dużo zimnej krwi, aby dać się nabrać na takie metody, a przesłuchujący mógł się tylko ośmieszyć. Mruknął tylko:

— Przyznajesz się?
— Nie!
— Zaprzeczasz, że zabiłaś Mortimera?
— Zaprzeczam!
— Zaprzeczasz, że kupiłaś ubranie dla swego współnika?
— Zaprzeczam!
— Zaprzeczasz, że wysłałaś ubranie do jego pokoju w Majestiku z listem, że zabijesz Mortimera i potem chcesz się z nim wiedzieć?
— Zaprzeczam!
— Co robiłaś w Majestiku?
— Szukałam pokoju pani Goldstein.
— Nie ma takiej w hotelu.
— Nie wiedziałam...
— A dlaczego miałaś rewolwer?
— W korytarzu na pierwszym piętrze był facet, który strzelał do drugiego, a potem rzucił rewolwer na ziemię. Podniosłam, żeby nie strzelił do mnie. Biegłam zawiadomić służbę.
— Nigdy nie widziałaś Mortimera?
— Nie...
— Był przecież w hotelu „Roi de Sicile”.
— W hotelu jest sześćdziesiąt lokatorów.
— Nie znasz Piotra Łotysza, ani Oppenheimera?
— Nie...
— To się nie trzyma kupy!
— Nie moja rzecz.
— Znajdziemy sklep, gdzie ci sprzedano ubranie.
— To się nie pokaże, co sprzedał!
— Zawiadomiłem twego ojca w Wilnie...
Po raz pierwszy zadrżała. Lecz natychmiast odparła:
— Jak pan chce, żeby się ruszył, to wyślijcie mu na bilet. Inaczej...
Maigret nie tracił spokoju, oglądał ją z ciekawością, nie pozbawioną sympatii. Była naprawdę dzielna!
Lecz właśnie w takich sprawach policja nie może wobec uporczywego przedstawiciela materialnego dowodu winy.
A taki nie istniał! Rewolwer był nieznanym paryskim rusznikarzem. Więc żadnej pewności, że należał do Anny Gorskiny.
Owszem, w czasie, gdy popełniono morderstwo, była w Majestiku. Lecz po wielkich hotelach można spacerować jak po ulicy. Twierdziła, że kogoś szukała. Nie można było tego z góry wykluczyć.
Nikt jej nie widział kiedy strzelała. I nie zostało śladu po liście do Piotra Łotysza.
Poszlaki? Mógł w nich przebierać jak w ulegalkach. Ale sąd nie skazuje za poszlaki. Często wręcz nie ufa najbardziej materialnym dowodom, z lęku przed pomyłką sądową, którą zawsze grozi obrona.
Maigret wyłożył ostatnią kartę:
— Dano nam znać, że Łotysz jest w Fécamp...
Tym razem dopiął swego. Anna Gorskina zaniemówiła. Lecz tłumacząc sobie, że to kłamstwo, opanowała się i rzuciła:
— I co z tego?

— Anonimowy list, który sprawdzamy, informuje, że ukrywa się w willi niejakiego Swanna... Podniosła na Maigreta oczy ciemne, teraz głębokie od smutku, niemal tragiczne.

*

Gdy spojrzał mimo woli na jej stopy, zobaczył, że jak matka, cierpiała na puchlinę wodną. Rzadkie włosy, z przezierającą skórą miała rozczochrane. Sukienka była utyłana w brudzie. Na jej górnej wardze ciemniał spory meszek.

A jednak była urodziwa, urodą wulgarną, niemal zwierzęcą. Z oczami wbitymi w komisarza, lekko przygarbiona, raczej spięta w poczuciu osaczenia, warknęła:

— Chyba, że chce pan ją skompromitować! Dobrze mówię?... Ha...ha... Co tam ja! Która ledwie zipie w getto!... Ale ona! No więc...

Pod wpływem wzburzenia mogła zacząć mówić. Czując, że jego uwaga może wszystko zepsuć, Maigret przybrał obojętną minę i starał się na nią nie patrzeć.

— Więc, nic! — wrzasnęła nagle. — Spadaj pan! Zostawcie mnie w spokoju! Nic nie powiem! Nic!

I rzuciła się na ziemię w sposób trudny do przewidzenia, nawet dla kogoś kto znałby ten rodzaj kobiet.

Histeria! Była niepodobna do siebie. Wszystkie jej członki zaczęły się wyginać, dreszcze raz po raz rzucały jej ciałem.

Piękna chwilę wcześniej, była odrażająca, rwała sobie garściami włosy, nie czując bólu.

Maigret się nie ruszał. Sto razy był świadkiem podobnego ataku. Znalazł naczynie z wodą. Ale było puste.

— Napęlnić! Szybko!

Chlusnął zimną wodą prosto w twarz Żydówki, która dławiała się oddechem, łąpczywie rozciągała usta, patrzyła na Maigreta nieprzytomnie, w końcu, uśmierzona, popadła w otępienie.

Tylko czasem wstrząsały nią jeszcze drgawki. Komisarz odchylił łóżko, przystawione regulaminowo do ściany, poprawił cienki materac, z trudem dźwignął Annę Gorskinę.

Wszystko to czynił bez żadnej urazy, niezwykle łagodnie, zakrył jej suknią kolana, sprawdził puls i stojąc obok łóżka, długo się jej przyglądał.

W tym stanie wyglądała na zmęczoną, trzydziestopięcioletnią kobietę. Szczególnie czoło kreśliły jej drobne zmarszczki, przedtem niewidoczne.

Dłonie miała obrzękłe, o niedbale pomalowanych tanim lakierem paznokciach, lecz drobne i kształtne.

Maigret nabił fajkę, ugniatając kciukiem tytoń, jak człowiek kiedy nie bardzo wie, co robić.

Przeszedł kilka razy nieświadomie celę.

Nagle odwrócił się nie dowierzając zmysłom.

Koc zakrywał całą głowę Anny Gorskiny. Była teraz jedynie bezkształtną masą pod bawełnianym, szaroburym nakryciem.

Masa ta poruszała się spazmatycznie. Nasłuchując, można było odróżnić przytłumione łkanie.

Maigret wyszedł cicho, zamknął drzwi, minął strażnika, lecz po dziesięciu metrach wrócił.

— Niech jej przyniosą jedzenie z restauracji Dauphine — burknął szybko, gderliwie.

ROZDZIAŁ 15

DWA TELEGRAMY

Maigret czytał je głośno śledczemu Comeliau, który nie krył wyraźnego zakłopotania.

Pierwszy był odpowiedzią pani Mortimer–Levingston na depeszę z wiadomością o śmierci jej męża.

„Berlin. Hotel Modern. Chora. Wysoka gorączka. Podróż niemożliwa. Stone załatwi co trzeba.”

Maigret uśmiechnął się gorzko.

— Pan rozumie? A teraz depesza z Wilhelmstrasse. Zakodowana. Tłumaczę:

„Pani Mortimer przybyła samolotem. Zamieszkała w hotelu Modern, Berlin. Otrzymała telegram, gdy wróciła z teatru. Położyła się i wezwała doktora, Amerykanina Pelgrada. Doktor zasłania się tajemnicą lekarską. Czy zaproponować konsultację naszego eksperta? Służba nie zauważyła objawów choroby”.

— Jak pan widzi, Comeliau, dama nie chce być przesłuchiwana we Francji. Nie twierdzę, że była współniczką męża. Przeciwnie, jestem pewny, że ukrywał przed nią dziewięćdziesiąt procent swojej działalności. Mortimer nie był człowiekiem, który zwierza się kobiecie, a szczególnie własnej żonie. Ale ona ma na sumieniu co najmniej jedno.

Przekazała niedawno w barze „Pickwick” wiadomość fordanserowi. Jego ciało spoczywa obecnie w Instytucie Medycyny Sądowej... Być może był to jedyny raz, kiedy Mortimer, zmuszony sytuacją, posłużył się żoną.

— A Stones?

— Główny sekretarz Mortimera. Utrzymywał więź między swym chlebodawcą, a instytucjami, które tamten nadzorował. W czasie morderstwa był od ośmiu dni w Londynie. Hotel Victoria. Oczywiście go nie powiadomiłem. Natomiast prosiłem Scotland Yard żeby faceta sprawdzili. Należy wziąć pod uwagę, że kiedy angielska policja zjawiała się w „Victorii”, o śmierci Mortimera w Anglii nikt jeszcze nie wiedział. Może tylko redakcje dzienników... Tym niemniej, ptaszek się ulotnił. Stones tuż przed najściem inspektorów zniknął...

Sędzia ponurym wzrokiem błędził po stercie listów i telegramów na biurku.

Śmierć miliardera jest wydarzeniem, które interesuje tysiące ludzi. A fakt, że Mortimer zginął śmiercią gwałtowną, poruszył kręgi związane z nim interesami.

— Sądzi pan, że warto to nagłośnić jako morderstwo na tle osobistym? — rzekł z wahaniem Comeliau.

— Tak będzie lepiej. Inaczej wybuchnie panika na Giełdzie, co zrujnuje wiele uczciwych spółek, w tym francuskie przedsięwzięcia handlowe, które Mortimer zaczął właśnie finansować.

— Oczywiście, ale...

— Chwileczkę. No i ambasada Stanów Zjednoczonych zażąda dowodów. A pan ich nie ma!... Ja zresztą także...

Sędzia przetarł okulary.

— Wobec tego...

— Nic. Czekam na wiadomość od Dufoura, który od wczoraj siedzi w Fécamp... Niech urzędzą Mortimerowi wspaniały pogrzeb. To nie ma znaczenia. Będą delegacje, piękne mowy nad grobem...

Od jakiegoś czasu przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości patrzył na Maigreta zaintrygowany.

— Dziwnie pan wygląda — orzekł.

Komisarz rozanielony szepnął tajemniczo:

— Morfina!

— Co?!

— Proszę się nie obawiać. Póki co, nie jestem narkomanem. Zwykły zastrzyk w klatkę piersiową... Lekarze chcą mi usunąć dwa żebra, co podobno jest absolutnie konieczne... Ale to straszny kłopot!... Muszę iść do szpitala i zostać tam nie wiadomo jak długo... Wyprosiłem sześćdziesiąt godzin zwłoki... Ryzykuję, jak mówią, stratę trzeciego żebra... Dwa więcej od Adama!... Uważa pan to za tragedię? Nie rozmawiał pan z profesorem Cochetem, który grzebie we wszystkich królach i możnych tego świata... Powiedziałby panu, jak mnie, że tysiące istnień ludzkich obywa się bez rozmaitych kawałków w środku. Na przykład premier Czechosłowacji... Profesor wyjął mu jedną nerkę... Oglądałem ją osobiście... Pokazał mi co nabierał: płuca, żołądki... A ich właściciele żyją jak pączki w maśle...

Spojrzał na zegarek, burknął do siebie:

— Cholerny Dufour...

I spowaźniał. Gabinet sędziego był niebieski od tytoniowego dymu. Maigret czuł się tu całkiem swojsko i usiadł na krawędzi biurka.

— Chyba sam wpadnę do Fécamp... — rozmyślał. — Za godzinę jest pociąg...

— Fatalna sprawa! — podsumował Comelieu, odsuwając akta.

Komisarz zapatrzył się w kłęby dymu, unoszące się nad nimi jak aureola. Milczenie zakłócało tylko skwierczenie fajki.

— Proszę spojrzeć na to zdjęcie — rzekł w końcu.

I podał tamto ze Pskowa, z bieloną ścianą domu krawca, dźwignią pod dachem, tarasem o sześciu stopniach, kobietą na krześle, godnym mężczyzną i dwoma chłopcami w marynarskich kołnierzach.

— Wykonano je w Rosji. Musiałem nawet zajrzeć do atlasu... To przy Bałtyku. Jest tam kilka małych państw: Estonia, Łotwa, Litwa... A naokoło Rosja i Polska. Granice nie wyznaczają różnic narodowych. Czasem każda wieś mówi innym językiem... A poza tym Żydzi, rozsiani wszędzie, ale stanowią odrębną mniejszość. I w dodatku komuniści!... Na granicach toczą się walki. Istnieją też armie wyraźnie nacjonalistyczne... Ludzie żywią się tym, co daje im las. Umierają z głodu i zimna. A biedni są biedniejsi niż gdzie indziej... Inteligencja broni kultury niemieckiej, czy słowiańskiej, a pozostali własnej ziemi i dawnych obyczajów... Niektórzy mają twarze Lapończyków, albo Kałmuków. Są także rośli blondyni, a wszystko przemieszane z Żydami, którzy jedzą czosnek i biją zwierzęta inaczej niż tamci.

Maigret wyjął fotografię z rąk sędziego, który ją oglądał bez szczególnego zainteresowania.

— Dziwni chłopcy! — rzekł tylko. Oddając ją znowu, komisarz spytał:

— Niech mi pan powie, którego z nich szukam?

Zostało jeszcze trzy kwadransy do odjazdu pociągu. Comelieu oglądał kolejno chłopca patrzącego agresywnie w obiektyw i jego brata, który spoglądał na tamtego jakby prosząc o radę.

— Takie fotografie są bardzo wymowne — podjął Maigret. — Ciekawe, że rodzice lub profesorowie nie są w stanie odgadnąć, jaki los ich czeka. Niech pan spojrzy na ojca... Zginął któregoś wieczoru podczas rozruchów... Walki toczyły się na ulicach, narodowcy przeciw komunistom... Nie należał ani do jednych, ani do drugich. Wyszedł z domu, żeby kupić chleb... Powiedział mi o tym przypadkiem właściciel „Roi de Sicile”, który urodził się w Pskowie... Matka jeszcze żyła w tym samym domu. W niedzielę wkładała strój ludowy z wysokim czepkiem, który osłaniał jej twarz po bokach... A chłopcy...

Urwał.

— Mortimer — zmienił ton — urodził się na farmie w stanie Ohio i zaczął od sprzedaży sznurowadeł w San Francisco. Anna Gorskina pochodzi z Odessy, młodość spędziła w Wilnie. Pani Mortimer jest szkocką emigrantką, ale od dzieciństwa zamieszkuje na Florydzie... I wszyscy się spotkali w cieniu Notre Dame... Natomiast mój ojciec był leśniczym w jednej z najstarszych posiadłości nad Loarą.

Znów sprawdził godzinę i wskazał na fotografii chłopca, który obracał się z uwielbieniem ku bratu.

— A ja muszę położyć łapę na nim.

Wytrząsnął fajkę do paleniska i jak zwykle o mało nie dorzucił drew.

Wkrótce potem sędzia rzekł z namysłem do kancelisty, czyszcząc oprawne w złoto okulary:

— Nie sądzi pan, że Maigret się zmienił? Wydał mi się... jakby to powiedzieć... trochę narwany... trochę...

Szukał właściwego słowa, lecz uciął:

— Do wszystkich diabłów, czego ci ludzie u nas szukają?

Ze złością chwycił akta Mortimera i zaczął dyktować: „Rok tysiąc dziewięćset...”

*

Inspektor Dufour tkwił w załomie muru, gdzie owego burzliwego ranka krył się Maigret, wypatrując „mężczyzny w trenczu”. Było to jedyne miejsce na stromej uliczce, która wiodąc do paru domostw na zboczu, przemieniała się w ścieżkę i ginęła w niskiej trawie.

Dufour miał na sobie czarne wysokie boty, krótką kurtkę z kapturem i rybacką czapkę, jakie noszą mężczyźni w Fécamp. Kupił je na pewno zaraz po przyjeździe.

— I jak tam? — spytał Maigret zbliżając się do niego w ciemności.

— W porządku, szefie.

To komisarza cokolwiek zaniepokoiło.

— Co w porządku?

— Nie wchodził, ani nie wychodził. Jeśli przyjechał wcześniej ode mnie i wszedł do willi, to jest tam do tej pory.

— Opowiadaj dokładnie, co się działo.

— Wczoraj rano nic. Służąca poszła po zakupy. Wieczorem zmienił mnie Bornier. Nocą nikt się nie pokazał. O dziesiątej zgaszono światła.

— Potem?

— Dzisiaj rano wróciłem tutaj, a Bornier poszedł spać. Przyjdzie mnie zmienić... Około dziewiątej, jak wczoraj, służąca udała się na zakupy... Pół godziny temu wyszła młoda dama... Niedługo będzie z powrotem... Sądzę, że składa komuś wizytę...

Komisarz milczał. Dobrze wiedział, jak niewystarczająca jest ta obserwacja. Lecz ilu trzeba policjantów, żeby okazała się szczelna?

Tylko do nadzoru willi powinien zatrudnić trzech inspektorów. Nie licząc kogoś do pilnowania służącej, czy „młodej damy”, jak się wyraził Dufour.

— Pół godziny temu opuściła willę?

— Tak... Jest właśnie Bornier... Teraz moja kolej coś przegryźć... Od rana połknąłem tylko kanapkę... Już nóg nie czuję...

— Idź...

Policjant Bornier był młodym człowiekiem, który dopiero zaczynał służbę w lotnej brygadzie.

— Spotkałem panią Swann — obwieścił.

— Gdzie? Kiedy?

— Na ulicy nadbrzeżnej... Teraz... Szła do tamy przy ujściu rzeki.

— Sama?

— Sama. Chciałem iść za nią, ale sobie przypomniałem, że Dufour na mnie czeka. Tama się kończy, więc pani Swann nie może zajść daleko.

— Jak była ubrana?

— W ciemnym płaszczu... Nie zwróciłem uwagi...

— Mogę odejść? — Spytał Dufour.

— Już ci powiedziałem.

— Gdyby coś się stało, to naturalnie da mi pan znać. Wystarczy zadzwonić krótko trzy razy do drzwi hotelu...

Idiotyzm! Maigret nawet nie słuchał. Poleciał Bornierowi:

— Zostań tutaj...

I bez namysłu skierował się do willi Swanna. Wyrwał prawie dzwonek z furtki. Ujrzał światło na parterze, tam gdzie była jadalnia.

Minęło pięć minut, lecz nikt się nie zjawił. Pokonał niski mur i stanął przed drzwiami. Uderzył w nie kufakiem.

Odezwał się przestraszony głos:

— Kto tam?

Jednocześnie doszedł go płacz dziecka.

— Policja! Otwierać! Chwila niepewności! Bieg.

Korytarz był nieoświetlony. Wchodząc dojrzał jasny zarys fartuszka służącej.

Otworzyły się drzwi i zobaczył dziewczynkę, którą widział tu poprzednio.

Służąca stała z plecami przy ścianie, odrętwiała ze strachu.

— Kogo spotkałaś dzisiaj rano?

— Przysięgam, panie władzo...

Rozpłakała się.

— Przysięgam, że ja... ja...

— Pan Swann?

— Nie! ja... To był pani szwagier... Kazał mi oddać list.

— Gdzie się z nim widziałaś?

— Naprzeciw rzeźnika... Czekał na mnie...

— Dawał ci kiedyś podobne zlecenia?

— Nie, nigdy... Nigdy go nie widziałam... poza domem, tutaj.

— Wiesz, gdzie się umówił z panią Swann?

— Nic nie wiem... Cały dzień pani była zdenerwowana... Ona też mnie pytała... Chciała się dowiedzieć, jak wygląda... Powiedziałam prawdę, że wyglądał na takiego, co może zrobić coś złego... Jak podszedł do mnie, to się nawet przełękłam...

Maigret wyszedł spieszenie, nie zamykając nawet drzwi.

ROZDZIAŁ 16

CZŁOWIEK NA SKALE

Mundurowy Bornier, świeżo upieczony policjant, zdumiał się widząc szefa, który minął go w pędzie, bez słowa, zostawiając drzwi willi otwarte.

Krzyknął za nim:

— Panie komisarzu!... Komisarzu!

Maigret się nie obejrzał. Dopiero po jakimś czasie zwolnił, dochodząc do ulicy Etretat, gdzie kręciło się trochę ludzi. Poszedł na prawo, człapał w błocie i znów rzucił się biegiem ku tamie przy ujściu rzeki.

Po niecałych stu metrach ujrzał sylwetkę kobiety. Zatoczył półkole, żeby się do niej zbliżyć. Rozładowywano tu barkę, którą oświetlała węglowa latarnia na maszcie.

Przystanął, czekając, aż kobieta znajdzie się w jej zasięgu—

Ujrzał napiętą twarz pani Swann. Miała półprzymknięte oczy, szła szybko, niezgrabnie, ledwie omijając wyboje.

Komisarz chciał ją zatrzymać, zrobił nawet ku niej parę kroków, lecz dojrzał przed sobą w mroku długi ciemny kształt bezludnego mola i spienione fale, bijące weń z stron.

Poszedł w tym kierunku i minął barkę. Nigdzie nie napotkał żywej duszy. Noc rozjaśniały czerwone i zielone błyski. Latarnia na skale oświetlała co piętnaście sekund spory kawał morza, rzucając promienie na zaporę rzeczną, która pojawiała się i niknęła w mroku.

Maigret potknął się o pacholki cumownicze i wszedł na kładkę umocnioną palami. Otoczył go szum morza.

Wzrokiem badał ciemność. Słyszał w dali syrenę okrętu, który domagał się wyjścia z komory słuzy.

Przed sobą miał grzmiący bezmiar, za sobą miasto, jasne sklepy i brukowane ulice.

Wciąż szedł. Niekiedy rozglądał się z rosnącym lękiem.

*

Nie znał terenu, wrócił, by pójść na skróty. Kładka na palach doprowadziła go do semafora z trzema czarnymi kulami, które bezwiednie policzył.

Trochę dalej przechylił się nad balustradą; pod nim rozpędzone, grzywiaste fale wciskały się między skalne bryły.

Wiatr zerwał mu kapelusz. Chciał go złapać, lecz nakrycie głowy wpadło do morza.

Mewy krzyczały piskliwie i czasem na niebie błysnęło białe skrzydło.

Czy pani Swann nie spotkała nikogo? Czy jej rozmówca odszedł? Czy już nie żył?

Maigret poruszał się nerwowo, przekonany, że tu chodzi o sekundy.

Dotarł do zielonego światła, obszedł żelazne sztaby, które je wspierały.

Nikogo! Przyboje jeden po drugim atakowały falochron i cofały się w białawych zapadliskach, by wrócić z podwójną siłą.

Chrzęst opłukiwanego żwiru. Widmowy zarys nieczynnego kasyna.

Maigret szukał człowieka.

Zawrócił ukosem, wylądował na plaży wśród kamieni, podobnych w ciemności do ogromnych ziemniaków.

Był na granicy zasięgu fal. Czuł, jak spryskują mu twarz.

Wtedy zauważył, że był odpływ, a przy tamie wystawał łańcuch ciemnych głazów, które rozdzielały kipiące czeluście.

Był to prawdziwy cud, że go ujrzał. Na początku wydawał się tylko martwym przedmiotem, cieniem w panoramie cieni.

Maigret obserwował go uważnie, jak stał na ostatniej skale, która unosiła swój dumny szczyt, ponad inne, nim opadła w głębię wodnego pyłu.

Ale ów przedmiot ożył...

Żeby tam dotrzeć, Maigret musiał wsunąć się między słupy pod mołem, po którym przebiegł niedawno.

Kamienie były obrośnięte wodorostami. Buty ślizgały się na nich ryzykownie. Otoczyły do dziwne szmery, przypominające ucieczkę setki krabów, pęknięcie baniek powietrza, kląskanie wody w zatoczce i ledwie słyszalny ruch małży, wrośniętych do połowy w gnijące drewno.

Raz Maigret nie trafił stopą w kamień i wpadł po kolana w wodę.

Nie widział już mężczyzny, ale kierunek był właściwy.

Tamten musiał wspiąć się na górę, kiedy odpływ dopiero się zaczynał, bo komisarza zatrzymało nagle dwumetrowe bajoro. Spróbował nogą dna i o mało nie wpadł twarzą do przodu. Na szczęście zdążył uwiesić się na złączach pali.

Bywają chwile, kiedy lepiej nie mieć świadków. Wykonuje się wtedy gesty, jakich się dotąd nie znało. Popelnia błędy kiepskiego akrobata. Ale mimo to trzeba iść dalej ze wszystkich sił. Upada się i wstaje. Czołga nieudolnie i upokarzająco.

Maigret rozciął sobie policzek i nigdy nie mógł sobie przypomnieć, czy było to wtedy, gdy upadł brzuchem na skałę, czy kiedy trafił na wbity w podporę gwóźdź.

Znów dostrzegł mężczyznę, nie wierzył oczom, tak ta postać była podobna do kamiennych obrywów, które czasem z odległości przybierają ludzkie kształty.

Niespodziewanie natknął się na głębię. Nie był marynarzem, nawykłym do takich okoliczności.

Zbliżając się przyspieszył mimo woli.

W końcu dotarł do szczytu, na którym stał tamten. Górował nad nim o metr. Rozdzielało ich kilkanaście kroków.

Nie myśląc o rewolwerze, szedł na palcach, o ile pozwalał teren. Strącił parę kamieni, lecz ich plusk zagłuszyło cofające się morze.

Bez namysłu rzucił się ku nieruchomej postaci, otoczył mu szyję ramieniem i przewrócił do tyłu.

Omali nie spadli, zalani falą wyższą od innych, która tutaj się odbijała. Jedynie zupełnym przypadkiem tak się nie stało.

Gdyby ćwiczył podobną sytuację dziesięć razy, dziesięć razy skończyłaby się dramatem.

Mężczyzna, który nie widział napastnika, bronił się jak piskorz. Mając zakleszczoną głowę, skręcał ciało tak zmyślnie, że w tych warunkach było to prawie nadludzkie.

Maigret nie chciał go udusić, tylko obezwładnić. Jedną nogą zaczepił się o najniższy pal. Tylko dlatego obaj nie spadali.

Przeciwnik nie walczył długo. Był to tylko odruch, instynktowna reakcja zagrożonego zwierzęcia.

Kiedy już potrafił myśleć, kiedy już ujrzał twarz Maigreta blisko swej twarzy, uspokoił się.

Ruchem powiek dał znać, że rezygnuje obrony. A kiedy szyja była już uwolniona, wskazał na rozkołysaną przestrzeń morza i wymamrotał jeszcze ochryple:

—Uważaj...

*

— Możemy porozmawiać, Hansie Johansonie? — rzekł Maigret, trzymając się kurczowo śliskich wodorostów.

Potem przyznał otwarcie, że w tamtej chwili jego przeciwnik mógł zwykłym kopniakiem strącić go do wody.

Trwało to sekundę, ale Johanson, przycupnięty obok krańcowej podpory nie wykorzystał okazji.

Maigret opowiadał także, jak trzymał za nogę pojmanego, aby się wdrapać po urwisku.

Następnie, bez słowa, odbyli drogę powrotną. Znow narastał przyływ. Blisko wybrzeża trafili na ten sam dół z wodą, który przedtem zatrzymał komisarza, teraz jednak o wiele głębszy.

Piotr wszedł pierwszy, stracił dno po trzech metrach, wpadł, zachłysnął się i dopiero po chwili wyłonił do pasa.

Maigret rzucił się ku niemu. W pewnej chwili zamknął oczy czując, że nie będzie w stanie utrzymać tego ciężkiego ciała nad wodą.

Wreszcie znaleźli się na kamienistej plaży.

— Coś mówiła? — spytał Łotysz bezdźwięcznie, głosem, w którym nie było nic, w każdym razie nic, co trzyma człowieka przy życiu.

Maigret miał prawo kłamać. Wołał jednak prawdę.

— Nie... Nic nie powiedziała... Ale ja wiem... Nie mogli tam zostać. Na ostrym wietrze ich ubrania zmieniły się w lodowate kompresy. Łotysz szczekał zębami. W bladej poświacie księżyca Maigret dostrzegł, że jego twarz jest zupełnie sina.

Piotr nie miał wąsów, a jego twarz była udręczoną twarzą Fiodora Jurowica, chłopca z Pskowa, który chłonał wzrokiem brata. Lecz oczy, choć podobnie szaroniebieskie, wyrażały zapiekłą mściwość.

Patrząc za siebie ujrzeli brzeg, gdzie tu i ówdzie migotały jasne światła. Były to wille, między nimi willa pani Swann.

Kiedy przesuwiał się jasny snop latarni morskiej, można było dostrzec jej dach. W domu było tylko dwoje dzieci i zalekciona służąca.

— Idziemy — rzekł komisarz.

— Do komisariatu?

Piotr głos miał zrezygnowany, raczej obojętny.

— Nie...

*

Znalazł jeden z portowych hoteli „U Leona”. Były tam drzwi używane tylko latem, przez gości spędzających wakacje w Fécamp, prowadzące do pomieszczenia, które zmieniano w sezonie na jadalnię.

Zimą, aby się napić, zjeść ostrygi czy śledzie, rybakom wystarczała kafejka.

Te właśnie drzwi otworzył Maigret. Minął ze swoim podopiecznym ciemną salę, dotarł do kuchni, gdzie na ich widok posługaczka wydała okrzyk zdumienia.

— Zawołaj szefa...

Nie ruszając się z miejsca krzyknęła.

— Panie Leonie!... Panie Leonie!...

— Chodzi o pokój — oświadczył Maigret, kiedy nadszedł właściciel.

- Pan Maigret!... Ależ pan jest całkiem mokry!... Czy pan?...
- Pokój, szybko!
- Teraz ich nie opalamy. A imbryk z wrzątkiem nie wystarczy, żeby...
- Ma pan dwa szlafroki?
- Naturalnie, moje własne... Ale...

Był o pół metra niższy od komisarza.

- Niech pan przyniesie!

Wspięli się na strome schody o fantazyjnych poręczach. Pokój był czysty. Pan Leon osobiście zamknął okiennice.

- Może grog?... I to mocny! — zaproponował
- Świetnie!... Ale najpierw szlafroki.

Maigret znów czuł się chory, przemarzył na wylot. Ranna strona piersi była kawałkiem lodu.

W ciągu następnych minut zapanowała między nimi atmosfera wspólnie zajmowanego pokoju.

Rozbierali się jeden przed drugim. Pan Leon wsunął przez drzwi rękę ze szlafrokami.

- Dla mnie ten większy! — oznajmił Maigret.

Łotysz porównał rozmiary.

Gdy dawał Maigretowi okrycie zobaczył rozmokły opatrunek i jego twarz wykrzywił nerwowy tik.

- Coś poważnego?
- Niedługo wyjmą mi dwa, albo trzy zębra...

Po tych słowach zapadło milczenie. Przerwał je pan Leon, wołając:

- Jak tam?
- Proszę wejść.

Szlafrok Maigreta sięgał do kolan, ukazując muskularne, owłosione łydki.

Łotysz natomiast, szczupły blondyn o kobiecych pęcinach, wyglądał w tym stroju jak cyrkowy clown.

— Zaraz będzie grog! Trzeba wysuszyć ubranie... Zebrał dwie kupki odzieży i krzyknął na dół:

- Hienriette, co z tym grogiem? Wracając przestrzegł:
- Lepiej nie mówić głośno... Obok nocuje komiwojażer... Wyjedzie o piątej rano...

ROZDZIAŁ 17

BUTELKA RUMU

Przesadą jest twierdzenie, że między policjantem, a człowiekiem, którego ma skłonić do zeznań, rodzi się niejaka zażyłość.

Lecz prawie zawsze, chyba, że ma się do czynienia z degeneratem, ich wzajemne stosunki nabierają nieco prywatnego charakteru.

Dzieje się tak dlatego, że w ciągu tygodni, czasem miesięcy, obaj są zdani wyłącznie na siebie.

Policjant chce jak najdokładniej wejść w przeszłość winnego, stara się odgadnąć jego myśli, zrozumieć reakcje.

Jeden i drugi walczą w tej rozgrywce o dużą stawkę. Zetknęli się w okolicznościach na tyle dramatycznych, żeby porzucić grzeczną obojętność, która określa stosunki międzyludzkie w życiu codziennym.

Znani są inspektorzy, którzy po niełatwym dochodzeniu, kierowani sympatią do przestępcy, odwiedzają go w więzieniu, podtrzymują na duchu, czasem aż do ostatecznego końca.

To być może tłumaczyło ich zachowanie, gdyż już zostali sami w pokoju. Hotelarz przyniósł kuchenkę na drewno, a w czajniku bulgotała woda.

Obok, między dwoma kieliszkami a cukiernicą, stała butelka rumu.

Byli zziębnięci. Otuleni w pożyczone szlafroki, razem schylali się nad kuchenką, za małą, by obu rozgrzać.

Czuli teraz rezygnację poborowych w koszarach, uległość, co łączy mężczyzn, gdy ranga społeczna nie ma oto jakiegokolwiek znaczenia.

Może dlatego, że przemarzli do szpiku kości? Prędeż z wyczerpania, które spadło na nich jednocześnie.

To był koniec! Nie musieli rozmawiać, by o tym wiedzieć.

Ciężko siedzieli na krzesłach, obaj wysunęli dłonie do czajnika, obaj spoglądali bezmyślnie na emaliowaną kuchenkę, jaka ich teraz połączyła.

To Łotysz chwycił butelkę rumu i zręcznie przyrządził grog.

Kiedy upił parę łyków, Maigret spytał:

— Chciał pan ją zabić?

Odpowiedź była natychmiastowa, równie prosta:

— Nie mogłem.

Lecz jego twarz przebiegały tiki, które widać nie dawały mu spokoju.

Trzepotał powiekami, rozciągał wargi na obie strony, zaciskał nozdrza.

Zniknęła inteligenta, opanowana twarz Piotra. Górę wziął Rosjanin, włóczęga o starganych nerwach i Maigret wołał nań nie patrzeć.

Nie zauważył więc, kiedy tamten chwycił butelkę, nalał pełny kieliszek i wychylił do dna. Oczy mu się zaszklily.

— Piotr był jej mężem?... Tworzył jedno ze Swannem, prawda?

Łotysz wstał, nie mogąc usiedzieć. Szukał wzrokiem papierosów, nie znalazł, a teraz mu ich nieznośnie brakowało. Przechodząc obok stołu z piecykiem, nalał sobie jeszcze.

— Nie od tego powinno się zacząć — rzekł. Spojrzał komisarzowi w oczy:

— Zresztą wie pan już wszystko, albo prawie?

— Dwaj bracia w Pskowie... Chyba bliźniacy?... Pan jest Hansem, który spoglądał na tamtego z podziwem i uległością...

— Kiedy byliśmy całkiem mali, już wtedy bawiło go traktowanie mnie jak podwładnego. I nie tylko, gdy byliśmy sami, ale i przy kolegach... Nie mówił „podwładny”, mówił „niewolnik”... Zauważył, że to mi sprawia przyjemność... Bo tak było, chociaż do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego... Patrzyłem na świat jego oczami... Mógłbym dać się zabić... A kiedy później...

— Co, kiedy później?

Skurcz twarzy. Drganie powiek. Haust rumu. Wzruszenie ramion, jakby mówił: „wszystko jedno!” I ciągnął monotonicznie:

— Kiedy później się zakochałem, nie byłem zdolny do takiego oddania... Nie, na pewno... kochałem Piotra, jak... sam nie wiem... Biłem się z kolegami, gdy nie chcieli uznać jego dominacji, a że byłem słabszy, otrzymywałem cięgi z rozkoszą...

— Taka przewaga istnieje często między bliźniakami — zauważył Maigret, nalewając sobie drugi kieliszek. — Chwileczkę...

Podszedł do drzwi, krzyknął na Leona, aby mu przyniósł fajkę, którą zostawił w ubraniu, oraz tytoń.

Łotysz dodał:

— A dla mnie papierosy, jeśli można?

— I papierosy, szefie, „niebieskie”!

Wrócił na miejsce. Obaj siedzieli w milczeniu, aż posługaczka przyniosła co trzeba i zniknęła.

— Byliście razem na uniwersytecie w Tartu... — podjął Maigret.

Tamten nie mógł usiedzieć, ani ustać na miejscu. Palił gryząc ustnik, wypluwał drobiny tytoniu, kręcił się bez celu, przesunął flakon na kominku, mówił coraz bardziej gorączkowo:

— Tak, właśnie tak się zaczęło. Brat był najlepszym ze studentów. Wszyscy profesorowie troszczyli się o niego... I koledzy czuli jego wyższość. Do tego stopnia, że został przewodniczącym „Ugali”. W tawernach dużo się piło. A ja najwięcej! Nie wiem dlaczego zacząłem pić tak wcześnie. Bez określonego powodu. Tak więc piłem zawsze. Może dlatego, że po paru głębszych wyobrażałem sobie świat urządzony inaczej, w którym odgrywałbym rolę kogoś lepszego. Piotr był wobec mnie bardzo surowy. Nazywał mnie „plugawym Rosjaninem”. Pan tego nie rozumie. Nasz babka ze strony matki była Rosjanką. A tam, szczególnie po wojnie, uważano Rosjan za leni, pijaków i ludzi nieodpowiedzialnych. W owym czasie ciągle wybuchały zamieszki, prowokowane przez komunistów. Mój brat stanął na czele korporacji „Ugala”. Wdarli się do koszar, zdobyli broń i rozpoczęli strzelaninę w samym mieście... A ja się bałem... To nie moja wina... Bałem się... Nie poszedłem z nimi... Zostałem w tawernie, za spuszczoneymi storami i piłem, aż się tamto skończyło... Uważałem, że moim przeznaczeniem jest zostać wielkim dramaturgiem, jak Czechów, którego sztuki znałem na pamięć. Mój brat mnie wyśmiewał: „Ty? Zawsze będziesz nieudacznikiem!” — powtarzał.

Cały rok trwały bunty i walki, nienormalne życie. Armia nie zdołała utrzymać porządku, więc mieszkańcy organizowali się w grupy, aby bronić miasta. Brat, jako szef „Ugali”, stał się kimś. Najpoważniejsi ludzie brali go na serio. Nie puściły mu się jeszcze wąsy, a już mówiono o nim jako o przyszłym działaczu w rządzie wolnej Estonii...

Lecz przywrócono spokój i wykryto skandal, który należało zatuszować. Rozliczając finanse stwierdzono, że „Ugala” służyła Piotrowi głównie dla korzyści osobistych. Jako członek różnych komitetów, fałszował ich dokumentację. Musiał opuścić kraj. Wyjechał do Berlina i napisał, abym się do niego zaraz przyłączył. W ten sposób zaczęliśmy we dwójkę...

Maigret patrzył z uwagą na wzburzoną twarz Łotysza.

— Który fałszował?

— Piotr nauczył mnie podrabiać różne charaktery pisma, kazał się uczyć chemii na kursach. Mieszkałem w nędznym pokoiku, dawał mi 200 marek na miesiąc... Po kilku tygodniach dorobił się samochodu i obwoził nim swoje kochanki... Zmienialiśmy głównie wartość czeków. Przykładowo — z czeku na dziesięć marek fabrykowałem czek na dziesięć tysięcy, a Piotr upłynniał je w Szwajcarii, Holandii, a nawet raz w Hiszpanii. Dużo piłem. Gardził mną i traktował jak psa. Raz o mało go nie przyłapano, bo wyszło mi gorzej niż zwykle. Stłukł mnie wtedy laską... A ja się nie broniłem... Wciąż go podziwiałem... Nie wiem, dlaczego... Imponował zresztą wszystkim. Jeśli by zechciał, mógł wtedy poślubić córkę ministra Rzeszy... Po tej wpadce musieliśmy uciekać do Francji, gdzie na początku zamieszkałem na ulicy École de Médecine... Piotr już nie pracował sam. Dołączył do kilku międzynarodowych gangów... Często wyjeżdżał za granicę, coraz rzadziej byłem mu potrzebny, tylko niekiedy, dla fałszywek, bo stałem się bardzo biegły w tej robocie... Dawał mi trochę pieniędzy... „Zawsze będziesz wyrzutkiem, parszywy Rosjaninie!” — mówił.

Pewnego dnia oświadczył, że wyjeżdża do Ameryki, w bardzo ważnej sprawie, która uczyni z niego miliardera. Kazał mi zaszyć się na głębokiej prowincji, bo w Paryżu policja od imigrantów już mnie kilka razy brała na spytki. „Masz tylko siedzieć cicho! To chyba nie za wiele?”... Równocześnie kazał mi zrobić całą serię fałszywych paszportów, które mu dostarczyłem... Wyjechałem do Havru...

— I tam spotkał pan przyszłą panię Swann...

— Nazywała się Berta...

Milczenie. Łotysz przelknął kilka razy ślinę. Wreszcie nie wytrzymał:

— Bo i ja chciałem zostać „kimś”! Była kasjerką w tamtym hotelu. Codziennie widziała, jak wracam pijany... Robiła mi wymówki... Była bardzo młoda, ale poważna. Dla mnie znaczyła własny dom, dzieci...

Jakiegoś wieczoru, gdy mnie karciała, a ja nie byłem całkiem pijany, rozplakałem się w jej ramionach i obiecywałem, że się zmienię. Może dotrzymałbym słowa. Wszystko mi obrzydło. Nie chciałem dłużej pętać się jak nędznik... I tak było przez miesiąc... Wie pan, to śmieszne... Chodziliśmy razem na publiczne koncerty... Była jesień... Nie rozmawialiśmy o miłości... Mówiła, że mnie lubi... Ale ja wiedziałem, że któregoś dnia... No i któregoś dnia on wrócił. Natychmiast byłem mu potrzebny... Przywiózł całą walizkę czeków do obróbki... Aż trudno uwierzyć, ile nazbierał!... Pochodziły z banków na całym świecie... Wtedy się okazało, że jest oficerem marynarki i przybrał nazwisko Swann. Olaf Swann. Zajechał do mego hotelu. Podczas kiedy ja tygodniami — bo to delikatna robota! — fałszowałem чеки, on biegał do portu żeby kupować statki.

Jego interesy przynosiły znaczne dochody. Tłumaczył mi, że zawarł porozumienie z największymi finansistami w Ameryce, którzy zresztą byli dla niego tylko parawanem... Naprawdę chodziło o złączenie wielkich gangów międzynarodowych w jednym ręku. Miał już na to zgodę pośredników. Zamierzali kupować niewielkie statki dla przemytu alkoholu... Czy mam dopowiadać resztę? Piotr zabronił mi pić, żebym wydajniej pracował. Siedziałem zamknięty wśród pędzelków, kwasów, różnych atramentów, szkieł powiększających, a nawet z przenośną drukarnią... Kiedyś wszedłem niespodziewanie do pokoju brata. W jego ramionach leżała Berta...

Chwycił łapczywie butelkę, w której została na dnie resztką rumu i wypił jednym tchem.

— Odszedłem! — dokończył stłumionym głosem. — Co miałem robić?... Odszedłem!... Wsiadłem do najbliższego pociągu. I wylądowałem na ulicy Roi de Sicile, spity do nieprzytomności, śmiertelnie chory...

ROZDZIAŁ 18

POŻYCIE HANSA

— Sądziłem dotąd, że w kobietach budzę tylko litość. Ale kiedy przyszedłem do siebie, zobaczyłem Żydówkę, która chciała mi pomóc... Wbiła sobie do głowy, że nie będę więcej zaglądał do butelki... Traktowała mnie jak dziecko, zupełnie jak Berta!

Roześmiał się. Spojrzenie miał zamglone, trudno było nadażyć za jego ruchami, grą twarzy.

— Lecz ta była uparta... Jeśli chodzi o Piotra... Niewątpliwie to coś znaczy, że jesteśmy bliźniakami. Mamy te same skłonności... Jak powiedziałem, mógł ożenić się z Niemką z najwyższych sfer... Ale nie! Poślubił Bertę. Trochę później, kiedy zmieniła miejsce i pracowała w Fe—camp... Nie powiedział jej, kim jest naprawdę... Ja to rozumiem... Wie pan, każdy ma ochotę na własny, czysty i spokojny ką... Potem urodziły się dzieci...

To było ponad jego siły. Głos mu się załamał. W oczach ukazały się łzy, ale szybko wyschły, jakby powieki miał za gorące.

— Jeszcze dzisiaj rano była przekonana, że mąż jest kapitanem żeglugi wielkiej... Od czasu do czasu przyjeżdżał, aby spędzić z nią i dziećmi parę dni, tydzień czy miesiąc. A ja tymczasem nie mogłem uwolnić się od tamtej... Od Anny... Nikt nie pojmie, dlaczego mnie kochała... Ale kochała, na pewno... Chociaż ją traktowałem tak, jak całe życie traktował mnie brat... Szydziłem z niej, codziennie mieszałem z błotem... Ale kiedy się spiłem, płakała... Wtedy piłem jej na złość. Brałem nawet opium i różne inne świństwa... na złość! Potem chorowałem, a ona tygodniami mnie pielęgnowała... Bo to mnie wykańczało... Pokazał ze wstrętem na swoje ciało. Rzekł błagalnie:

— Czy można prosić, żeby nam dali coś do picia?

Maigret wahał się tylko przez moment i krzyknął ze schodów:

— Rumu!

Łotysz nie podziękował.

— Czasem uciekałem, jeździłem do Fécamp, błąkałem się koło willi, gdzie zamieszkała Berta... Do dzisiaj pamiętam, jak wozila swoje pierwsze niemowlę... Piotr musiał w końcu przyznać, że jestem jego bratem, ze względu na takie podobieństwo...

Kiedyś wpadłem na inny pomysł. Już od dzieciństwa starałem się z miłości naśladować brata. No i pewnego dnia, sam nie wiem dlaczego, ubrałem się jak on i zaszedłem do willi.

Służąca dała się nabrać. Ale kiedy stałem w progu, przybiegła dziewczynka i zawołała:

— Tatuś!

Byłem idiotą. Uciekłem! Ale coś tam we mnie zostało. Od czasu do czasu Piotr wyznaczał mi spotkanie. Potrzebował fałszywek... I ja je robiłem! Czułem do niego nienawiść, ale mu ulegałem... Obracał milionami, bywał w pałacach, salonach... Dwa razy wpadł i dwa razy wykręcił się sianem. Nigdy nie interesowały mnie jego sprawy. Chociaż, równie jak pan, domyślałem się o co chodzi. Gdy był jeszcze sam, albo z paroma kumplami, jego interesy nie były znaczące... Ale Mortimer, którego spotkałem niedawno, zwrócił na niego uwagę... Mój brat posiada talent, siłę perswazji, był swoistym geniuszem. Tamten zaś miał ogładę i nieskalaną reputację w świecie biznesu... Piotr zebrał wielkich aferzystów pod jego skrzydłami i organizował wypadki... Mortimer pełnił funkcję ich bankiera... To mnie nie obchodziło. Jak mi powtarzał brat jeszcze za studenckich czasów, byłem tylko nieudacznikiem... Więc się zapijałem, nachodziły mnie okresy rozpacy i nadziei... Jedno tylko przetrwało w tym

zabłąkaniu, sam nie wiem, jakim sposobem... Pewnie, że raz ujrzałem możliwe szczęście: Bertę... Niestety, poszedłem do niej miesiąc temu. Radziła mi... W końcu zapytała.

— Dlaczego nie bierze pan przykładu z brata? Wtedy mnie oświeciło. Czemu nie wpadłem na to wcześniej? Mogłem być Piotrem, jeśli zechcę!... Kilka dni później napisał, że przyjeżdża do Francji i będę mu potrzebny.

Wybrałem się do Brukseli, aby go tam spotkać. Wsiadłem do pociągu z dużymi przedziałami bagażowymi i ukryłem się między walizkami do chwili, aż wyszedł do toalety. Zdążyłem przed nim. Zabiłem go! Dla kurażu wlałem w siebie litr belgijskiej jałowcówki. Najtrudniej było go rozebrać i włożyć mu swoje ubranie...

*

Pił zachłannie, prosto z butelki. Maigret nigdy przedtem nie widział czegoś takiego.

— Podczas spotkania w Majestiku Mortimer niczego się nie domyślił?

— Zdaje się, że tak. Ale to było tylko niejasne podejrzenie... Ja przede wszystkim szukałem okazji, żeby spotkać Bertę. Chciałem jej wyznać prawdę... Nie miałem wyrzutów sumienia, choć nie byłem w stanie zrobić użytku z tego morderstwa... W kufrze Piotra były różne rzeczy. Przebrałem się za łajzę, do czego nawykłem od dawna... Wyszedłem z hotelu od tyłu. Czulem, że Mortimer mnie śledzi i dwie godziny trwało, zanim go zgubiłem... Wtedy wypożyczyłem samochód i pojechałem do Fécamp... Berta niczego nie mogła zrozumieć... A ja, stojąc przed nią, nie miałem odwagi się oskarżyć, kiedy pytała... A potem zjawił się pan... Ujrzałem pana przez okno. Oświadczyłem Bercie, że chcę mnie aresztować za kradzież i prosiłem ją o schronienie. Kiedy pan odszedł, rozkazała:

— Proszę się wynosić! Kala pan dom swego brata! — Napfawdę, tak się wyraziła! Odszedłem. Obaj, pan i ja, wróciliśmy do Paryża... No i znalazłem się u Anny, która oczywiście urządziła mi scenę... Łzy... O północy przyszedł Mortimer, który już się zorientował i groził mi śmiercią, jeśli odtąd nie będę zastępował Piotra. Dla niego było to ogromnie ważne. Piotr stanowił jego jedyny kontakt z gangami... Bez niego Mortimer nie mógł się obejść... i znów Majestik... I pan za moimi plecami. Słyszałem, że zabito jakiegoś inspektora... Trudno sobie wyobrazić, jak obrzydło mi życie... Myśl, że wiecznie będę grał rolę mego brata... Pamięta pan to nędzne bistro? I fotografię, którą pan upuścił?... W czasie wizyty Mortimera w „Roi de Sicile”, Anna poczuła się niepotrzebna... Rozumiała, że moje nowe wcielenie oddali nas od siebie. A wieczorem w moim hotelowym pokoju znalazłem paczkę i list...

— Zwykle szare ubranie i kartkę od Anny z decyzją, że zabije Mortimera i wyznacza panu spotkanie...

Dym wisiał jak chmura. W pokoju zrobiło się cieplej. Kontury mebli ledwie wyłaniały się z mroku.

— I przyjechał pan tutaj, żeby zabić Bertę... — oświadczył Maigret.

Tamten pił bez przerwy. Stuknął kieliszkiem i wyjąkał, trzymając się kominka:

— Żeby skończyć z całym światem! I ze sobą! Miałem dosyć wszystkiego! Nie ustępowała tylko obsesja, jedna z tych, które brat nazywał rosyjską głupotą. Umrzeć z Bertą w ramionach...

Przerwał i rzekł innym tonem:

— Kretynstwo! Trzeba wychlać litr alkoholu, żeby ucześcić się takiej mrzonki. Za oknem stał policjant. Trzeźwiałem... Włóczyłem się po okolicy. Dzisiaj rano dałem służącej notatkę, w której wyznaczyłem szwagierce spotkanie na urwisku i dodałem, że jeśli nie przyniesie mi trochę pieniędzy, to mnie zamkną... Obrzydliwe, co?

*

Wsparty łokciami o marmurowy kominek, wybuchnął nagle płaczem, wcale nie męskim, raczej dziecinnym. Mówił głosem, który rwał szloch:

— Nie odważyłem się!... Było ciemno... Szumiało morze... I jej oczy, pełne rosnącego niepokoju... Powiedziałem jej wszystko! Wszystko! O mojej zbrodni też! Jak zamieniłem w toalecie nasze ubrania... Ale kiedy niemal traciła poczucie rzeczywistości, przysięgłem, że to nieprawda... Chwileczkę, nie zabójstwo! Ale że Piotr był szubrawcem. Krzychałem, że to sobie wymyśliłem z zemsty... Myślę, że uwierzyła. W takie rzeczy zawsze się wierzy... Upuściła na ziemię torebkę z pieniędzmi... I powiedziała... Nie, nie mogła wypowiedzieć słowa...

Uniósł głowę, obrócił ku Maigretowi twarz całą w konwulsjach, próbował iść, lecz zatoczył się i chwycił kominka.

— Niech mi pan da butelkę, proszę...

W tym „proszę” kryło się niedopowiedziane ciepło.

— I na chwilę zdjęcie... Wie pan...

Maigret wyjął z kieszeni fotografię Berty. To był jedyny błąd, który popełnił w tej sprawie. Przekonanie, że Hans myśli teraz o Bercie.

— Nie, tamto!

Na którym stali dwaj chłopcy w marynarskich kołnierzach!

Łotysz patrzył na nie jak zahipnotyzowany. Komisarz widział je odwrotnie, lecz dostrzegł podziw chłopca o jaśniejszych włosach dla swego brata.

— Zabrali mój rewolwer z ubraniem — rzekł Hans obojętnie, rozglądając się wokoło.

Maigret poczuł uderzenie krwi do twarzy. Wskazał nieznacznie ręką na łóżko, gdzie leżała jego broń.

Wtedy Łotysz oderwał się od kominka. Szedł pewnie. Zebrał w sobie ostatki energii.

Minął komisarza o niecały metr. Obaj byli w szlafrokach. Razem wysączyli butelkę rumu.

Dwa krzesła stały jeszcze naprzeciw siebie, po dwóch stronach emaliowanej kuchenki.

Ich spojrzenia zetknęły się i Maigret nie chciał odwrócić głowy. Należało czekać.

Ale Hans przeszedł obok, wyprostowany, usiadł na krawędzi łóżka, jęknęły sprężyny.

W drugiej flaszcze zostało trochę alkoholu. Komisarz ją podniósł, brzęknęło szkło o szkło kieliszka.

Pił bardzo wolno. A może tylko udawał? Wstrzymał oddech.

Na koniec huk. Jednym łykiem opróżnił kieliszek.

*

W języku oficjalnym brzmi to mniej więcej tak: „Dnia... listopada 19... w dziesiątej godzinie przejęcia nadzoru, niejaki Hans Jonansson, urodzony w Pskowie, Rosja, obywatel estoński, bez stałego zajęcia, mieszkający w Paryżu, ulica Roi de Sicile, po złożeniu oświadczenia, że jest winny morderstwa dokonanego w pociągu o nazwie „Gwiazda Północy” na swym bracie Piotrze Johannsonie, zatrzymany w Fécamp przez komisarza Maigreta z Pierwszej Lotnej Brygady, popełnił samobójstwo strzałem w usta.

Pocisk kalibru 6 mm przebił podniebienie i utkwiał w mózgu. Śmierć była natychmiastowa. Zwłoki skierowano dla celów proceduralnych do Instytutu Medycyny Sądowej, który potwierdził ich odbiór”.

ROZDZIAŁ 19

RANNY

Pielęgniarze odjechali po ugoszczeniu ich przez panią Maigret kieliszkiem śliwowicy własnej roboty, sporządzonej podczas urlopu w rodzinnej wiosce w Alzacji.

Gdy drzwi się zamknęły, a kroki na schodach ucichły, weszła do sypialni o tapecie w różane bukiety.

Maigret, trochę zmęczony, z lekko podkrążonymi oczami, spoczywał w szerokim łóżku, otulony jedwabną, czerwoną kołdrą.

— Czy bolało? — spytała jego żona, równocześnie uprzątając pokój.

— Nie bardzo...

— Możesz jeść?

— Trochę...

— I pomyśleć, że operował ciebie ten sam chirurg, co niektórych królów i takich ludzi, jak Clemenceau, Courteline...

Otworzyła okno, by wytrześć dywanik, na którym jeden z pielęgniarzy zostawił ślady stóp. Potem wyszła do kuchni, przesunęła garnek, odłożyła pokrywkę na bok.

— Słuchaj Maigret... — zagadnęła wracając.

— O co chodzi? — spytał.

— Naprawdę wierzysz w tę historię zabójstwa w afekcie?

— O kim mówisz?

— O tej Żydówce. Annie Gorskinie, którą dzisiaj będą sądzić. Tej z „Roi de Sicile” co się upierała, że kochała Mortimera i zabiła go z zazdrości.

— Więc to dzisiaj?

— Trudno mi jakoś uwierzyć...

— Ba, życie jest widocznie bardziej skomplikowane... Lepiej popraw kołdrę...

— Czy może zostać ułaskawiona?

— Ułaskawia się tylu innych!

— To właśnie chciałam powiedzieć. Czy była zamieszana w twoją sprawę?

— Pośrednio... — mruknął.

Pani Maigret wzruszyła ramionami.

— Naprawdę nie wiem dlaczego poślubiłam oficera Policji Kryminalnej.

Lecz się uśmiechnęła.

— Bo jak się wydarzy coś niezwykłego, to się wszystkiego dowiaduję od dozorczynie. Akurat ma bratanka w dziennikarstwie...

Maigret także się uśmiechnął.

Przed operacją dwukrotnie odwiedził Annę w więzieniu.

Za pierwszym razem rzuciła się i podrapała mu twarz.

Za drugim przekazała dane, które umożliwiły im nazajutrz wykrycie Pepito Moretty, zabójcy Torrence’a i Josego Latourie w hoteliku nieopodal Bagnolet.

*

Całe dni bez wiadomości! Od czasu do czasu telefon podnoszący na duchu, lecz diabła warty. Aż któregoś dnia Maigret, nie znosząc tego dłużej, zdecydował:

— Idź po doktora...

Uwijała się w mieszkaniu, zadowolona, niby to gderając na jego temat, mieszała w rondlach, otwierała i zamykała okna, nosiła dzbanki z wodą, czasem pytała:

— Chcesz fajkę?

Aż któregoś razu nie odpowiedział.

Maigret bowiem spał przywalony do ramion czerwoną kołdrą, z twarzą w poduszce, a nad jego spokojną głową trwała znajoma, domowa krzątanina.

W Pałacu Sprawiedliwości Anna Gorskina walczyła o życie.

W areszcie, zamknięty w celi pod specjalnym nadzorem, Pepito Moretto, świadomy, co go czeka, krążył wzdłuż ścian pod obojętnym spojrzeniem dozorczy za okratowanym judaszem.

Gdzieś w Pskowie stara kobieta w ludowym czepku, opadającym aż na policzki, jechała zapewne do kościoła. Sanie gładko mknęły po śniegu, a pijany woźnica okładał batem konika, drepczącego jak nakręcona zabawka.